NOWOŚĆ!
WACŁAW BOROWY
ANTOLOGIA LIRYKI POLSKIEJ
Od Kochanowskiego do Staffa
Stron 498. Oprawa płócienna.
Cena 30/- + 6 d. za przesyłkę
Do nabycia:
Katolicki Ośrodek Wydawniczy
„VERITAS"
12, Praed Mews, London, W. 2
oraz w księgarniach polskich.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1 sh

JERZY KOSSOWSKI
WICI W PUSZCZY
Powieść z życia emigrantów polskich
w puszczy brazylijskiej.
Stron 287.
Barwna obwoluta A. Kossowskiego
Oprawa płócienna.
Cena 15/-+6d za przesyłkę.
Katolicki Ośrodek Wydawniczy
„VERITAS"
12, Praed Mews, London, W. 2.

ROK VIII. Nr 20/360

LONDYN, 16 MAJA 1954 R.

JAN BIELATOWICZ

MĘSTWO I ROZUM

Bitwa o Monte Cassino była częścią rozległego planu operacyjnego i politycznego, którego celami głównymi było zdobycie Rzymu, umożliwienie lądowania wojsk sprzymierzonych w południowej Francji i odpowiedź na sowiecki sceptycyzm co do potrzeby opanowania Półwyspu Apenińskiego i możliwości prowadzenia tam skutecznej walki z Niemcami.

Dokumenty historyczne są już dziś w znacznej części opublikowane i łatwo dostępne; można z nich odczytać, że przywódcy sowieccy drżeli na myśl, żeby siły sprzymierzonych, opanowawszy północne Włochy, mogły się skierować na Istrię, Wiedeń i ku Europie środkowo-wschodniej. Toteż nikogo bardziej nie cieszyły zimowe niepowodzenia anglo-amerykańskie pod Cassino i Anzio na przełomie lat 1944/45 od Stalina i sowieckich marszałków. Nikt bardziej nie łamał rąk po skruszeniu obrony niemieckiej od ludzi na Kremlu.

Roosevelt, prawdopodobnie pod wpływem doradców, robił co mógł, aby zniechęcić dowództwa do wojny we Włoszech. W maju 1944 na froncie włoskim znajdowało się 28 dywizji alianckich. Po zdobyciu Rzymu wycofano z Włoch 7 dywizji, a stan liczebny V Armii (pod dowództwem amerykańskim) stopniał z 250 tysięcy żołnierza do 153 tysięcy. W piśmie do Churchilla z 16 października 1944, cytowanym w VI tomie jego Pamiętników, Roosevelt odmawia wysłania posiłków do Włoch. W ostatnim starciu, pod Bolonią, sprzymierzeni rozporządzali tylko 23 dywizjami w całych Włoszech, przeciw 27 niemieckim.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że front włoski traktowany był przez Amerykanów po macoszemu. W dniu wiosennej ofensywy pod Cassino i dalej na zachód V Armia miała w swym składzie 7 dywizji, w tym 4 francuskie. Wśród 23 dywizji sprzymierzonych, które zakończyły kampanię włoską wspaniałym zwycięstwem, biorąc do niewoli blisko milionową armię niemiecką, trzy były polskie, jedna brazylijska i cztery włoskie. Wszystkiego więc Anglicy i Amerykanie mieli na froncie i do okupacji dużego kraju — 15 dywizji. Korpus polski w ostatecznej fazie posiadał nominalnie 3 dywizje, ale gdyby zastosował organizację spod Monte Cassino, mógłby pod Bolonią wystawić śmiało 5 dywizji. Można zatem z niewielką przesadą stwierdzić, że Ordre de Bataille 2 Polskiego Korpusu stanowił jedną czwartą efektywów bojowych na froncie włoskim. (Przed ruszeniem ostatniej ofensywy na odcinkach znajdowały się 3 korpusy brytyjskie, 2 amerykańskie i 1 polski, ale nacierały tylko trzy z nich.)

Wartość bojowa 2 Korpusu, wypróbowana przez dowódców sprzymierzonych pod Monte Cassino, zdecydowała o roli, jaką powierzono Polakom. 2 Korpus objął samodzielny odcinek operacyjny, najpierw nad Adriatykiem, potem w Apeninach Toskańskich, a pod Bolonią przeprowadził uderzenie czołowe. Rola Polaków w kampanii włoskiej była więc pierwszoplanowa.

Miewamy pretensje, że taki czy ów mąż stanu lub dowódca wojskowy nie podkreśla, a nawet bywa że przemilcza udział Polaków w kampanii włoskiej. Trzeba wszakże pamiętać, że piszą oni nie opracowania historyczne, lecz własne pamiętniki, a nawet opisując jakąś kampanię, ograniczają się do uwypuklenia tylko roli własnych wojsk. Trudno wymagać od gen. Andersa, aby w książce „Bez ostatniego rozdziału" rozwodził się nad szczegółami bitwy nad jeziorem Bolsena lub lądowania pod Anzio. Niedawno podnoszono zarzut, że dowódca V Armii, gen. Mark Clark w swych pamiętnikach pt. „Calculated Risk" tak mało pisze o Polakach. Zarzut niesłuszny, bo książka Clarka nie jest obrazem historycznym kampanii włoskiej, lecz tylko, jak głosi podtytuł książki, „personal story". Mimo to jednak wzmianek — i to z reguły superlatywnych — o 2 Korpusie możemy się w książce Marka Clarka doszukać sporo. Np.: „Polski Korpus walczył z niezwykłym bohaterstwem i nie bacząc na straty", „Opactwo zdobyła 3 Dywizja Karpacka (Polska) 18 maja i droga do doliny Liri została otwarta" (str. 330), „Postępy były w ciągu kilku dalszych dni, kiedy Korpus Polski, wspaniała jednostka bojowa pod dowództwem gen. Władysława Andersa, ostatecznie dokonał tego, co wszystkim nam się nie udało — zdobywając Cassino, przy pomocy brytyjskiego uderzenia okrążającego na południu." (str. 332)

Winston Churchill jest w swoich pamiętnikach bardzo oszczędny w opisach przebiegu poszczególnych akcji bojowych. A jednak w tomach V i VI wielokrotnie daje wyraz najwyższego uznania dla 2 Korpusu i jego działań. Szczególnie ciekawa jest korespondencja między Churchillem a dowódcami brytyjskimi, generałami Wilsonem i Alexandrem na temat Polskiego Korpusu. Opisując przebieg bitwy o Cassino, premier brytyjski tak ocenia rolę Polaków: „Rankiem 18 maja miasto Cassino zostało ostatecznie oczyszczone przez 4 Dywizję Brytyjską, a Polacy triumfalnie wywiesili swój biało-czerwony sztandar na ruinach klasztoru. Odznaczyli się oni bardzo w tej ich pierwszej akcji we Włoszech. Później, pod lojalnym generałem Andersem, który przeżył więzienie sowieckie, zdobyli liczne laury w czasie długiego marszu ku rzece Pad." Ale sukces na Monte Cassino nie usypia czujności premiera, gdyż naciska on gen. Alexandra, aby natychmiast atakował „linię Hitlera" i jej punkt główny, Piedimonte. W odpowiedzi Alexander zapewnia, iż wydał rozkazy, aby VIII Armia naciskała „z największą energią" w dolinie Liri, zanim się Niemcy skonsolidują. „Zarządziłem również — dodaje — aby Polacy uderzyli natychmiast na Piedimonte, by ta linia była zagrożona też od północy." W tejże samej depeszy do premiera gen. Alexander donosi: „Zdobycie Cassino znaczy bardzo wiele dla mnie i dla moich wojsk. Niezależnie od jego znaczenia dla Foreign Office, wydaje mi się, iż posiada ono także doniosłe możliwości propagandowe."

Gen. Wilson, głównodowodzący teatru operacyjnego, depeszuje 18 maja 1944: „Bitwa ma przebieg zadowalający. Odwiedziłem dziś Polaków. Są dumni z ich ciężko wywalczonego sukcesu na Monte Cassino, gdzie walka była bardzo okrutna." Dnia 23 maja 1944 Churchill dziękuje gen. Alexandrowi za „dobrze zasłużone przemówienie do Polaków". (Alexander wyrzekł wówczas, wręczając gen. Andersowi order łaźni, m. in. następujące słowa: „Żołnierze 2 Korpusu! Jeżeli by mi dano do wyboru między jakimikolwiek żołnierzami, którymi chciałbym dowodzić, wybrałbym was, Polaków.")

O znaczeniu twierdzy Monte Cassino wypowiedziano m. in. następujące zdania: „Była to twierdza niemal nie do zdobycia" („an almost impregnable fortress" (gen. Alexander w raporcie do Churchilla dnia 24 maja 1944), „Nie ma wątpliwości, iż Cassino było jedną z najmocniejszych twierdz niemieckich" (gen. Mark Clark), „Łatwo było dostrzec taktyczne znaczenie tej wyniosłej skały i budowli, które przez tyle tygodni zatrzymywały nasze postępy" (Churchill, zwiedzając po bitwie wzgórze klasztorne, w VI tomie Pamiętników).

Na czym polegała rola Polaków w bitwie o Monte Cassino? Elementarna wiedza wojskowa opiera się na aksjomacie, że celem wojny jest zniszczenie sił przeciwnika, a nie zdobywanie terenu. Zdobycie gruzów klasztoru i kilku kilometrów kwadratowych zakrzaczonych skał nie miałoby, rzecz jasna, żadnego wojskowego znaczenia, gdyby nie to, że na tym skrawku ziemi znajdowało się najlepsze wojsko Rzeszy niemieckiej — 1 Dywizja Spadochronowa, więcej, gdyby w ten teren nie włożono całego geniuszu sztuki wojennej i gdyby nie związano z nim wszystkich ambicji i nadziei. Niemcy umocnili obszar Monte Cassino niemal kamień po kamieniu, wypróbowali tu i zastosowali wszystkie zasady i zdobycze nowoczesnej sztuki militarnej, uważając, że jest to twierdza nie do zdobycia. Broniły jej najwyborowsze oddziały. Niemcy byli pewni, że tędy pójdzie nowe natarcie sprzymierzonych i na Monte Cassino skupili główną uwagę.

Kiedy w godzinę po północy z dnia 11 na 12 maja 1944 2 Korpus ruszył do ataku, Niemcy uruchomili wszystkie środki żywe i ogniowe na tym właśnie odcinku. Wziął je na siebie i związał w walce 2 Korpus. Sukcesy Polaków, zważywszy teren walki i warunki, były poważne, ale kosztowały bardzo wiele strat i okazały się nie do utrzymania. Słychać czasem opinie, że w natarciu popełniono błędy. Oczywiście, popełniono. Nie ma dzieła ludzkiego bez błędów. Ale ostatecznie, jak inaczej można było wykonać to zadanie? Można dziś stanąć spokojnie wśród zieleni odrodzonej na nowo na stokach wzgórz 593 i San Angelo oraz na przełęczy Albaneta i długo dumać, jakby należało poprowadzić natarcie na te przedmioty. Żaden taktyk ani żaden strateg nie znajdzie innej rady, poza starym sposobem: poza męstwem. 2 Korpus Polski rzucił na szalę walki pod Monte Cassino przede wszystkim swoje męstwo. Było ono pierwszorzędnym czynnikiem zwycięstwa dlatego, że przeciwnik uzbrojony był również tak samo: w męstwo. Monte Cassino mógł zdobyć tylko twardy żołnierz, ale obronić je mógł również tylko żołnierz dzielny.

Straty 1 Dywizji Spadochronowej w walce z 2 Korpusem ocenił szef sztabu X Armii niemieckiej, gen. Fritz Wentzell, na 1100 żołnierzy.*) Oprócz Dywizji Spadochronowej na odcinku znajdowały się ponadto dwa pułki wysokogórskie. Jeśli przyjąć za pewnik skromny szacunek strat gen. Wentzlla, Niemcy mieli pod Monte Cassino w walce z 2 Korpusem strat około półtora tysiąca żołnierza. Ale groby na niemieckich cmentarzach wokół Cassino liczą się na dziesiątki tysięcy, oczywiście z okresu wszystkich walk.

Postępy 13 Korpusu Brytyjskiego w dolinie Liri byłyby niemożliwe, gdyby na wzgórzach wokół klasztoru nie rozegrała się jedna z najkrwawszych bitew ostatniej wojny: Niemców z Polakami. (Straty 2 Korpusu wynosiły około tysiąca zabitych, 3 tysiące rannych i 450 zaginionych.)

Operacyjnie bitwa o Monte Cassino otworzyła sprzymierzonym drogę do Rzymu i umożliwiła inwazję Francji południowej. Gen. Anders określił kiedyś tę bitwę skromnie jako bitwę o istnienie 2 Korpusu (który niewątpliwie byłby poważnie zredukowany i rozbity jako jednostka operacyjna, gdyby nie wziął udziału i nie odznaczył się w bitwie). Istotnie, bitwa ta przesądziła o istnieniu 2 Korpusu i jego „małej Polski" uchodźczej, a w konsekwencji o powstaniu masowej emigracji politycznej.

Ale bitwa o Monte Cassino, w której tak ważną rolę odegrał Korpus Polski, była również bitwą o istnienie frontu włoskiego, a gdyby nie przewrotna polityka i sowieckie wpływy, mogła być również bitwą o najbliższą drogę do Polski. Toteż po latach dziesięciu trzeba stwierdzić, że 2 Korpus pod Monte Cassino nie tylko najdzielniej się bił, ale też prowadził najlepszą wówczas, na jaką nas było stać, politykę polską. Decyzja wzięcia udziału w tej bitwie była aktem rozumu politycznego.

Monte Cassino było zarówno wielkim zwycięstwem oręża polskiego w „bitwie siedmiu narodów", którego sława przejdzie na karty dziejów powszechnych, jak też mądrym krokiem politycznym, godnym wielkiego narodu. W tej bitwie mogliśmy albo wszystko stracić albo uratować nadzieję. Uratowaliśmy nadzieję.

Jan Bielatowicz

*) „Die Schlacht um M. Cassino". Opracowali: gen. F. Wentzell i płk szt. gen. Heckel na wezwanie służbowe w r. 1946. Oddział Hist. 2 Korpusu. Arch. Pol. 1, t. 2683.

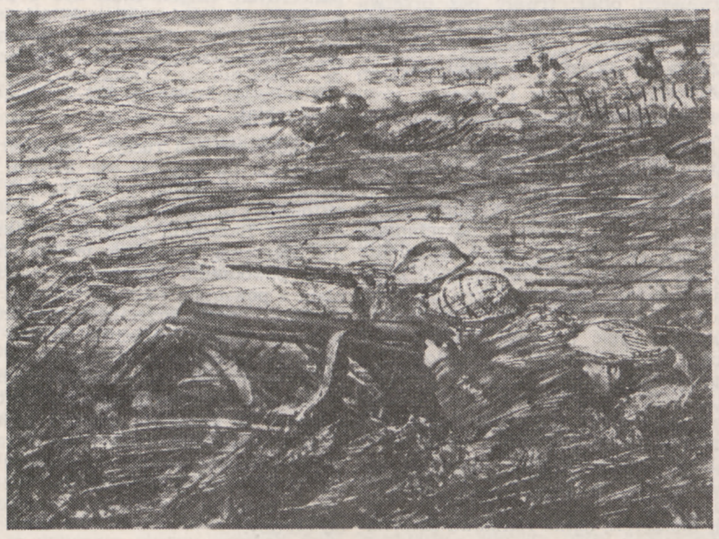

RYSUNKI Z OKRESU BITWY

ZYGMUNTA TURKIEWICZA

18 MAJA 1944

18 MAJA 1954

GEN. KLEMENS RUDNICKI

2 KORPUS W BITWIE O MONTE CASSINO

Bitwa 2 Polskiego Korpusu o Monte Cassino wynikła z trzeciej kolejnej próby Sprzymierzonych poruszenia frontu, ktory — po stosunkowo łatwym opanowaniu południowej Italii — zastygł niepokojąco na dogodnej dla Niemców linii: Ortona — Cassino — Minturno.

Ani desant pod Anzio ani też natarcia amerykańskie ze stycznia oraz Nowozelandzkiego Korpusu wraz z 4 Hinduską Dywizją z marca 1944 roku, zwane później I i II bitwą o Monte Cassino, nie zdołały przełamać uporczywie bronionego frontu.

Tymczasem ogólne położenie strategiczne wymagało od Sprzymierzonych rychłego przedostania się w głąb półwyspu Apenińskiego. Mające bowiem wkrótce nastąpić uderzenie inwazyjne przez wybrzeże francuskie na kontynencie wymagało wzmocnionej aktywności w Italii, której szybkie opanowanie mogło ostatecznie wyeliminować Włochy z wojny, zadając tym samym poważny cios siłom Osi. Ponadto i polityczne powody, tkwiące w chęci rozszerzenia tzw. „drugiego frontu" przemawiały za ponowieniem wysiłku i takie też decyzje zapadły na najwyższym szczeblu Sprzymierzonych.

Termin rozpoczęcia ofensywy we Włoszech wyznaczony został na pierwszą połowę maja 1944 roku. W uderzeniu miały wziąć udział gros sił 8 Armii Brytyjskiej i cała 5 Armia Amerykańska.

Jego celem operacyjnym był Rzym, którego opanowanie dawało dogodne i właściwie jedyne na tej wysokości półwyspu wyjścia z gór Apenińskich, bez których posiadania dalsze prowadzenie szerzej zakrojonych operacji na północ nie było możliwe.

Dowódca frontu generał Alexander nie miał większego wyboru w obraniu kierunku głównego uderzenia. Jedyna bowiem droga na Rzym, po której można by działać większymi siłami, biegła doliną rzeki Liri; wszystkie inne wiodły przez góry lub wąskie przejścia i nie dawały możliwości sprawnego rozwinięcia ani też wykorzystania posiadanej potęgi technicznej.

Trudność korzystania z tej drogi leżała natomiast w tym, iż sama konfiguracja terenu broniła do niej wstępu, tworząc kombinację przeszkód naturalnych, które nawet bez technicznych umocnień można by uważać za nie do zdobycia. Na tej właśnie barierze naturalnej oparli Niemcy swą obronę, podnosząc sztucznie jej wartość oporu. Na niej rozbiły się wszystkie poprzednie natarcia Sprzymierzonych. I tym więc także razem bitwa o Rzym miała się rozegrać u wejścia do doliny Liri, a historia dała jej nazwę bitwy o Monte Cassino, gdyż ten kompleks górski stanowił kluczową pozycję.

Kompleks ten stanowił prawy, tj. północny zawias bramy wejściowej do doliny. Bez wyrwania go żaden ruch w głąb nie był możliwym, flankował on bowiem obserwacją i ogniem wszelki po niej ruch. Nie wystarczało samo związanie kompleksu natarciem lub ogniem. Masyw górski Monte Cassino musiał być koniecznie zdobyty.

Zadanie opanowania tego masywu przypadło w udziale 2 Polskiemu Korpusowi, dowodzonemu przez generała Władysława Andersa.

Samą doliną Liri miał posuwać się XIII Korpus Brytyjski, który musiał w tym celu przełamać rozciągniętą na niej obronę niemiecką w poprzek na rzece Gari.

Dalej leżący na południe w górach Aurunci lewy zawias bramy, zamykającej wejście do doliny Liri, miał forsować Francuski Korpus Ekspedycyjny, należący do 5 Armii Amerykańskiej, której jeden (2) Korpus miał nacierać wzdłuż morza Tyrreńskiego. Działania ofensywne 4 Korpusu Amerykańskiego z przedmościa Anzio miały dołączyć do ogólnego wysiłku w drugiej fazie działań.

Oto są ramy ogólne i rola 2 Polskiego Korpusu w bitwie o Rzym, która — jak wspomnieliśmy — stoczyła się u wejścia do doliny Liri w dniach od 11 do 18 maja 1944 roku.

PRZYGOTOWANIE KORPUSU DO BITWY

Generał Anders dowiedział się od generała Leese'a, dowódcy 8 Armii Brytyjskiej, o zamiarze użycia Korpusu w planowanej ofensywie i jego zadaniu już 24 marca 1944 roku. Natychmiast dokonał osobistych lotów rozpoznawczych nad terenem przyszłej bitwy i przystąpił, wraz ze swym sztabem, do wstępnych prac przygotowawczych.

Dnia 8 kwietnia był już w stanie wydać pierwsze wytyczne obu swym dowódcom dywizji oraz dowódcom broni Korpusu, które stały się z kolei początkiem ich prac przygotowawczych.

Ażeby zrozumieć sam plan natarcia Korpusu i jego warunki, trzeba zatrzymać się na chwilę nad opisem pola bitwy.

Pozycja, która miała być objęta natarciem Korpusu, składała się z dwóch części: jedna, to sama pięść, którą tworzy góra klasztoru opactwa benedyktynów i druga, to wzgórze „Widmo" i grzebień St. Angelo, stanowiące nasadę pięści — kiść, którą się ona wiąże z górami Corno i Cairo.

Góra klasztorna, to olbrzymia forteca, najeżona bunkrami niemieckimi, trudno dostępna, o stromych i zakrzaczonych zboczach, pełnych pułapek, min i drutów, stanowiących dotychczas nieprzekraczalną zaporę dla ruchu. Broniona była od wschodu, północy i południa samą stromością stoku a od zachodu, tj. kisci, górą 593 i klasztorem Mass Albaneta, werżniętym głęboko w gardziel doliny Majoli.

Wzgórze „Widmo" i St. Angelo tworzyły dwie głębokie, kolejne pozycje obronne, ufortyfikowane od szeregu miesięcy, kryjące szereg niespodzianek w swym tajemniczym układzie i dające po ich opanowaniu jedyną możność odcięcia pięści i zgniecenia jej.

Każdy z tych przedmiotów wymagał sił jednej dywizji, każdy był ważny.

Jak podzielić zadanie między dywizje Korpusu, Karpacką i Kresową? Obie równe sobie siłą i ambicją. Rozstrzyga o tym los na wspomnianej już z dnia 8 kwietnia odprawie, przez ciągnięcie węzełków z ręki gen. Andersa.

Los wybrał Karpacką na klasztor, Kresową na Angelo.

Od 15 kwietnia oddziały Korpusu poczęły wchodzić na odcinek przyszłego natarcia, luzując tkwiące na stanowiskach oddziały brytyjskie.

Dywizje rozpoczęły swe prace przygotowawcze, żmudne odprawy i ćwiczenia, mające na celu przygotować oddziały do czekających je zadań. Zwalczanie bunkrów ładunkami, wytyczanie ścieżek po nocach i rozbrajanie min, działalność patroli szturmowych itp. W sztabach znów wrzała praca nad odcyfrowaniem zdjęć lotniczych, map, nad stołami plastycznymi uwydatniającymi teren natarcia, nad układaniem planów ognia artylerii i moździerzy i zgrywania ich z ruchem piechoty.

Okoliczności spowodowały, iż moment zaskoczenia, tak ważny w każdej akcji, przeważył i stał się ważniejszy od dokładnego wykrycia pozycji nieprzyjaciela. Obok niewątpliwych korzyści kryło to w sobie groźbę niespodzianek, których paraliżowanie trzeba było odłożyć na reakcje dokonywane w samej bitwie.

Następną trudnością tej bitwy były jej komunikacje. Podstawy wyjściowe obu dywizji leżały w wąwozach, jarach i zboczach rejonu wzgórz Majoli z doprowadzoną do nich jedną ścieżką górską, udostępnioną z trudem jedynie dla łazików (jeep'ów) i widoczną jak na dłoni przez przeciwnika. Tą ścieżką trzeba było zwieźć tony amunicji, zapasy wody i żywności i to tylko po nocy i bez użycia świateł, ażeby ukryć przed nieprzyjacielem ruch i zamiary. Aby się do niej dostać, trzeba było przebyć dolinę Rapido o szerokości ponad 5 kilometrów, widoczną przez nieprzyjaciela. W tej też dolinie musiała stanąć cała artyleria Korpusu, wprowadzona na stanowiska pojedynczymi działonami w ciągu kolejnych nocy, milcząca tajemniczo i troskliwie zamaskowana aż do dnia natarcia.

Największą jednak trudnością było flankowanie przez nieprzyjaciela zarówno samych podstaw wyjściowych jak i kierunków przyszłych natarć. Dywizje wychodziły bowiem do natarcia jakby z wnętrza szerokiego półkola, którego oba ramiona zaglądały w boki i tył nacierającym. Stąd też dywizje liczyć się musiały z ogniem nie tylko od frontu ale i od tyłu i z boku. Czy żołnierz to wytrzyma nerwowo? Czy uwierzy nacierając w przód, że te pociski, które z tyłu i z boku nadchodzą są również nieprzyjacielskie?

Wreszcie od chwili wejścia na podstawy wyjściowe aż do początku natarcia, co ze względu na komunikacje musiało trwać kilka dni, żołnierz musiał trwać obronnie na stanowiskach, będąc obserwowany z wielu kierunków przez przeciwnika. Każde poruszenie się za dnia wywoływało ogień piechoty lub artylerii. Ruchy można było wykonywać tylko w nocy. W ciągu dnia żołnierz musiał trwać skulony, w niewygodnej pozycji, w płytkim dołku wykutym w skale, który nie dawał dostatecznej ochrony przed pociskiem.

Oto jak wyglądała drobna cząstka tych wszystkich trudności, które w każdej bitwie istnieją, ale które w tej właśnie spotęgowane były do niepomiernych granic, tak jakby los umyślnie chciał wypróbować polskiego żołnierza. Oto zalążek kryzysu, tego nieodłącznego towarzysza w bitwie, którego przezwyciężenie przynosi dopiero zwycięstwo. Czy kryzysy te żołnierz przetrzyma? Oto było pytanie, które nurtowało każdego dowódcę przed bitwą, spędzając mu sen z utrudzonych powiek.

Wśród tych niewiarygodnie trudnych warunków, w dniu 8 maja, ukończono całość przygotowań. Początek natarcia został wyznaczony na godzinę 23 dnia 11 maja.

PRZEBIEG BITWY

Nie sposób w krótkim omówieniu przedstawić dzieje samego natarcia. To co się w tych siedmiu dniach i nocach uporczywych walk zdarzyło wśród nacierających batalionów, w centralach ogniowych i na stanowiskach artylerii oraz moździerzy, pod klapami czołgów wspinających się na załomy skalne, na ścieżkach saperskich, na rwących się liniach łączności, w sztabach dowództw wszystkich szczebli, w czołówkach chirurgicznych i zaopatrzenionych i wreszcie w duszach wszystkich żołnierzy Korpusu — wymaga całej księgi.

Mówiąc rzeczowo o wydarzeniach tego natarcia trudno nawet ustrzec się od emocjonalnych wpływów, tak bardzo jego przebieg wżarł się w dziedzinę duszy ludzkiej, jej wyżyn i zmagań. Będę notował same suche fakty, wierząc, iż pomimo tego nie trudno będzie odgadnąć dramat, który się w nich kryje.

Punktualnie o godzinie 23 dnia 11 maja odezwała się cała artyleria 8 i 5 Armii, poczynając od Aqua Fondata aż po morze Tyrreńskie. Przez pierwsze 40 minut ponad 1000 dział 8 Armii skierowało swój ogień na wykryte i przypuszczalne stanowiska artylerii i moździerzy w rejonie Atina, Belmonte, w dolinie Liri, Santa Lucia, Corno i Terelle. Potem masa ognia runęła na stanowiska piechoty nieprzyjaciela. O godzinie 1 po północy ruszyły oddziały obu dywizji z podstaw wyjściowych do natarcia na wzgórze 593, na „Gardziel" oraz na „Widmo". Zawrzały gwałtowne walki wśród niemieckich bunkrów, które — pomimo ogni zaporowych i strat — doprowadziły w krótkim czasie do opanowania wzgórza 593 oraz części „Widma". Piechota rozpoczęła konsolidować się na zdobytych pozycjach lub kończyła ich oczyszczanie. Teraz dopiero objawiła się w całej pełni groza flankujących się wzajemnie pozycji górskich. Piekło ognia rozpętało się, rażąc zdobywców od przodu, boków i tyłów tego szaleńczego półkola. Zaczęły się mnożyć nieprzyjacielskie przeciwuderzenia, wychodzące z ukrytych na przeciwstokach schronów. Nowe walki zawrzały, zaczęło brakować amunicji, której nie można było donieść w ogniu. Siły poczęły topnieć. Wyczerpane, zdziesiątkowane i słabnące oddziały poczęły powoli i niechętnie schodzić ze zdobytych pozycji i wycofywać się na podstawy wyjściowe. Jedne wcześniej, drugie później, niektóre z „Widma" spłynęły dopiero w nocy dnia następnego.

W nocy z dnia 12 na 13 maja pierwsze natarcie dobiegło końca. Gwałtowne i długotrwałe związanie przeciwnika na bastionie górskim umożliwiło XIII Korpusowi Brytyjskiemu opanowanie przedmości na rzece Gari. Brama wejściowa do doliny Liri została uchylona. Ażeby ją ostatecznie rozewrzeć, potrzebne będzie drugie natarcie.

Termin tego natarcia, planowany przez dowódcę Korpusu już na dzień 14 maja, został przez dowódcę Armii przesunięty na dzień 17 maja. Termin ten miał być ściśle uzgodniony z nowym zrywem XIII Korpusu Brytyjskiego w dolinie Liri.

Chociaż każdy dzień zwłoki wyczerpywał fizycznie i nerwowo, oddziały Korpusu bowiem musiały trwać na podstawach wyjściowych pod ogniem przez całe cztery dni, to jednak fakt ten odbił się korzystnie na samym przygotowaniu. Można było wykorzystać wszystkie krwawo opłacone doświadczenia pierwszego natarcia. Tajemnicza zasłona, która kryła dotychczas ugrupowanie nieprzyjaciela, została rozdarta. Natarcie, choć nie zmieniło swych zasadniczych przedmiotów nakazanych do opanowania, mogło być przeorganizowane i dostosowane do istniejących warunków.

Pomimo tych niewątpliwych korzyści i tym razem zwycięstwo nie przyszło łatwo. Walki uporczywe, gwałtowniejsze nawet, aniżeli za pierwszym razem, pełne groźnych kryzysów i krwawych ofiar, trwały bez przerwy aż do dnia 18 maja w nocy, a na uporczywie bronionym Angelo, na odcinku Kresowej, nawet od świtu dnia 19 maja.

Przebieg ich był następujący:

Kresowa, wykorzystując noc, rzuca już w dniu 16 maja, tuż po zapadnięciu mroku, jedną kompanię 16 Lwowskiego Batalionu na „Widmo". Kompania odnosi sukces i natychmiast wdziera się za nią reszta batalionu, wybija obsadę bunkrów, odrzuca kilka gwałtownych przeciwuderzeń niemieckich i o świcie 17 trzyma już pewnie północną część wzgórza. O godzinie 7 przeskakuje „Widmo" Batalion 17 i uprzedzając ognie zaporowe przeciwnika pnie się szybko na stoki Angela. Tak ostry ruch zaskakuje Niemców i już o godzinie 7.20 walki toczą się u samego szczytu Angela. Położenie batalionu nie jest jednak łatwe. Mnożyć poczynają się przeciwuderzenia i znowu mordercze ognie flankowe zaczynają szczerbić luki w nacierających. Wreszcie około godziny 14 zarysowuje się na Angelo kryzys. Po odparciu szeregu przeciwuderzeń, batalion wyczerpał amunicję i zmuszony jest cofnąć się ze szczytu wzgórza na jego stok. Niemcy nie mają odwagi go ścigać.

Angelo musi być jednak zdobyte. Dowódca natarcia Kresowej organizuje drugie natarcie. Po krótkim, ale silnym przygotowaniu artyleryjskim rusza o godzinie 16 uderzenie ponowne. Biorą w nim udział bataliony 17, 16, 13, 18 oraz komandosów, słowem wszystko, co znajdując się w pobliżu mogło zdążyć na czas. Równocześnie 15 Batalion ze szwadronem czołgów wdziera się na południowy stok „Widma", odsłaniając lewą flankę natarcia, Kresowa nie ma już więcej odwodów. Jest cała zaangażowana w rozstrzygającym boju. Walka trwa kilka godzin, przerywa ją dopiero noc. Szczyt północny Angela znalazł się w polskich rękach, dalej jednak, w głębi, siedzi jeszcze nieprzyjaciel. Oddziały własne są natomiast całkowicie przemieszane, skrwawione i niezmiernie wyczerpane walką. Niektóre od 48 godzin nie miały nie tylko jedzenia, ale i wody. Polegli dowódcy Wileńskiej Brygady i 13 Batalionu, obaj zastępcy w Batalionach 13 i 17. Ranni dowódcy 15 i 18 Batalionu, wielu zabitych dowódców kompanii i plutonów. Noc z 17 na 18 maja jest nocą kryzysu Kresowej. W tę noc jednak również Kresowa odtwarza odwody formując nowe półbataliony z szeregowych tylnych eszelonów, z kierowców samochodowych, obsług przeciwlotniczych i przeciwpancernych. Angelo musi być w pełni oczyszczone a opór niemiecki ostatecznie złamany. Oddziały te wejdą w skład nowego natarcia w dniu 18 maja.

Nie mniej krwawym był dzień 17 w Karpackiej.

O godzinie 9.23 ruszył Batalion 4 szturmem na wzgórze 593. Szturm załamał się w ogniu, prowadzonym na najbliższej odległości. Do godziny 12.15 dowódca Batalionu ponawia kilkakrotnie uderzenia. Wszystkie jednak chwilowe powodzenia kończą się odrzuceniem z powrotem na stoki wzgórza. W miejscu, gdzie przeciwnik się broni, jest tak wąsko, właściwie można iść tylko po grzebieniu, iż dosłownie nie ma gdzie się rozwinąć. Czołowe oddziały zostają miażdżone ogniem. Nowe natarcie po południu, wsparte oddziałami 5 Batalionu, daje tylko ograniczony rezultat. Dowódca batalionu ginie w szturmie, który osobiście prowadzi, a batalion skrwawiony przechodzi do obrony.

Na prawym skrzydle 4 Batalionu, na Mass. Albanetta i „Gardzieli" nacierał od rana 6 Batalion Karpackiej. W ciężkich walkach zatrzymany w „Gardzieli" morderczym ogniem i minami, zdołał jednak opanować część niemieckich bunkrów, chroniących stoki 593.

Pomimo iż natarcie Karpackiej nie przynosi większych terenowych zdobyczy, to jednak gwałtowność coraz to ponawianych natarć wyczerpuje przeciwnika i załamuje jego wolę trwania. Dnia następnego nie znajdzie on już sił do walki.

18 maja o świcie 4 Batalion ponawia szturm na 593. O godzinie 7 zajmuje go wreszcie ostatecznie, a o godzinie 10 oczyszcza z resztek przeciwnika jego stoki. Batalion 6 wdziera się rano na Mass. Albanetę. Nieprzyjaciel jest ostatecznie złamany. Oddziały pościgowe kierują się na klasztor. O godzinie 9.50 patrol 12 Pułku Ułanów zatyka na jego ruinach proporczyk pułkowy, do którego w niedługim czasie dołączają flagi państwowe polska i brytyjska.

Dnia 18 maja rano Karpacka zadanie swoje ukończyła.

Tymczasem tegoż dnia, aż do późnej nocy, toczą się zacięte walki na odcinku Kresowej. Nacierające oddziały Kresowej muszą walczyć omalże z każdym bunkrem osobno. Już jednak pod wieczór jest tyle wyrw w obronie nieprzyjacielskiej, iż patrole Kresowej mogą sięgnąć poprzez Angelo w dolinę Liri i nawiązać bezpośrednią łączność z oddziałami 12 Brygady 4 Brytyjskiej Dywizji Piechoty.

O świcie dnia 19 maja cały kompleks wzgórz Monte Cassino znalazł się w rękach Polskiego Korpusu i nieprzyjaciel został ostatecznie pobity.

Zadanie zostało wykonane i północny zawias bramy ostatecznie wyłamany. Natarcie XIII Korpusu Brytyjskiego zagłębiło się w dolinę Liri.

Na zdobyciu jeszcze Piedimonte i góry Cairo skończyła się rola 2 Polskiego Korpusu w Bitwie o Rzym.

* * *

Bitwa Korpusu, w nieprawdopodobnie ciężkich warunkach stoczona i na przestrzeni nie większej jak 3 kilometry kwadratowe rozegrana, okupiona życiem około 1000 poległych żołnierzy, miała niewątpliwie charakter bitwy materiałowej, niemniej jednak właściwa jej rozgrywka nastąpiła w dziedzinie ducha. Wynik jej przesądziła nie siła materialna, ale niezłomna wola zwycięstwa.

Zwycięstwo 2 Polskiego Korpusu opromieniło sławą sztandary polskie i przyczyniło się w sposób zasadniczy do powodzenia całości operacji 8 Armii Brytyjskiej.

Klemens Rudnicki

PAPIEŻ PIUS XII

O WOJNIE ATOMOWEJ

Podobnie jak uczniowie Jezusa radowali się, gdy wieczorem w dniu pierwszej Wielkanocy ujrzeli Mistrza zmartwychwstałego wracającego do nich jako zwycięzca śmierci, tak i wy, umiłowani synowie i córki, otwieracie wasze serca na radość tego uroczystego święta i przyjmujecie z ufnością to pozdrowienie pokoju, które My, Wikariusz Boskiego Odkupiciela na ziemi, w Jego imieniu ponawiamy dla Kościoła i rodziny ludzkiej. „Gavisi sunt discipuli, viso Domino. Dixit ergo eis iterum: Pax vobis" (Jan 20, 20-21). Uradowali się uczniowie ujrzawszy Pana. A Jezus rzekł im ponownie: Pokój wam!

Składając korne dzięki łaskawości Bożej za udzielenie Nam nieocenionego daru, że możemy obchodzić razem z wami to uroczyste święto, nie chcielibyśmy pominąć sposobności, by nie wyrazić wam Naszej ojcowskiej wdzięczności za synowskie uczucie i pobożne modlitwy, jakimi krzepiliście Nasze serce w ostatnich strapieniach.

O jakże byśmy chcieli, by na wszystkich ludzi spłynęła radość chrześcijańskiej Wielkanocy, tak by Kościół mógł śpiewać pełnym głosem: „In resurrectione tua, Christe, coeli et terra laetentur" (Brewiarz Rzymski, Niedziela Przewodnia, na Laudesy). W zmartwychwstaniu Twoim, Chryste, niech się radują niebiosa i ziemia! Lecz jeśli w niebiosach panuje pokój i wesele, zupełnie inną jest rzeczywistość na ziemi. Tu, zamiast pogodnej radości, której tajemnicę objawił już Chrystus, wzrasta z roku na rok niepokój i niemal przerażenie ludów w obawie przed trzecią wojną światową i strasznym jutrem, zdanym na łaskę nowych broni niszczących o niesłychanej gwałtowności.

Bronie — co do których mieliśmy już sposobność dać wyraz trwodze począwszy od lutego 1943 — są w stanie wywołać „katastrofę niebezpieczną dla całej naszej planety" (Acta Ap. Sedis 1943, str. 75), nieść całkowite zniszczenie wszelkiego życia zwierzęcego i roślinnego i wszystkich dzieł ludzkich na obszarach coraz bardziej rozległych; bronie mogące już, przez sztuczne isotopy radioaktywne przeciętnie o długim trwaniu, zakazić w sposób trwały atmosferę, ziemię, nawet oceany i to dosyć odległe od miejsc bezpośrednio dotkniętych i zakażonych wybuchami nuklearnymi. Tak więc przed oczami przerażonego świata stoi widmo gigantycznych zniszczeń i rozległych przestrzeni, które staną się niezdatne do zamieszkania i użytkowania przez człowieka, nie mówiąc już o skutkach biologicznych, które mogą powstać czy to z powodu zmian wprowadzonych do zarodków i mikroorganizmów czy też przez nieznany jeszcze wpływ, jaki długotrwałe działanie radioaktywne może mieć na organizmy wyższe, nie wyłączając ludzi, i na ich potomstwo. W związku z tym nie chcielibyśmy zaniechać wskazania niebezpieczeństwa, jakim dla przyszłych pokoleń mógłby stać się zabieg mutageniczny, możliwy do wynalezienia względnie już wynaleziony nowymi środkami, w celu spaczenia naturalnej drogi rozwoju spuścizny, którą stanowią dziedziczne czynniki człowieka; i także dlatego pragniemy wskazać na to niebezpieczeństwo, ponieważ wśród takich spaczeń prawdopodobnie nie brakuje i nie brakowałoby tych zaburzeń patogenicznych, które są przyczyną chorób zakaźnych i monstrualności.

Z Naszej strony nigdy nie znużymy się w zabieganiu o to, by przez umowy międzynarodowe — z zachowaniem zawsze zasady obrony koniecznej (por. jednak Acta Ap. Sedis, 1953, str. 748-749) — mogła być skutecznie zabroniona i wykluczona wojna atomowa, biologiczna i chemiczna (tamże, str. 749). Równocześnie pytamy: Dokądże ludzie zechcą się uchylać od zbawiennego blasku Zmartwychwstania, spodziewając się natomiast swego zabezpieczenia po zabójczych błyskach nowych narzędzi wojny? Dokądże przeciwstawiać będą swe plany nienawiści i mordu przykazaniom miłości i obietnicom życia przyniesionym przez Boskiego Zbawiciela? Kiedyż spostrzegą rządcy narodów, że pokój nie może polegać na jątrzącym i kosztownym stosunku wzajemnego terroru, lecz na chrześcijańskiej zasadzie powszechnej miłości, a szczególnie na sprawiedliwości stosowanej dobrowolnie raczej niż z konieczności i na zaufaniu wzbudzonym raczej niż wymuszonym. Kiedyż stanie się, że uczeni świata skierują przedziwne odkrycia utajonych sił materii wyłącznie w celach pokojowych, by za niską cenę dostarczyć ludzkiemu działaniu energii, która by złagodziła niedostatek i poprawiła nierówny geograficznie podział nie tylko dóbr ale i pracy, jak również dostarczyła nowych broni medycynie, rolnictwu, a narodom nowych źródeł pomyślności i dobrobytu?

Ale oto, podczas gdy niepokój zdawało by się staje się coraz bardziej dotkliwy, jaśnieje w łagodnym blasku Wielkanocy, rozkwitłej w tym roku pod dziewiczym słońcem Maryi, słodki uśmiech Jezusa i Matki naszej, będącej również w chwale u boku swego Syna. Tak więc w szczególniejszy sposób nad tymi, co żyją w ciemności i bólu, rozciąga dzisiaj ta najukochańsza Matka płaszcz swej niewypowiedzianej tkliwości.

O Maryjo, jaśniejąca w tym dniu jeszcze żywszym światłem, bądź symbolem i źródłem pojednania ludzi między sobą oraz z ich Panem i Odkupicielem Jezusem. Wzmacniaj wiarę tych, co Ciebie wzywają! Spraw, niech przed ich oczami zabłyśnie nadzieja dóbr niezniszczalnych, owo odkupienie ciał i dusz, przedmiot ich gorących pragnień, których zapowiedź już podziwiają w Jezusie i w Tobie samej. Pomagaj im dźwigać ciężar cichego i często twardego trudu codziennego i pociesz ich ufnością w wieczną i doskonałą Wielkanoc czekającą ogromną rodzinę ludzką w domu Ojca wśród blasków nieba. Amen.

GRANICE OBRONY KONIECZNEJ

W przytoczonej alokucji wielkanocnej Papież powołał się na swe przemówienie wygłoszone do lekarzy wojskowych 19 października 1953 r. (Acta Apostolicae Sedis, 1953, str. 748 — 749). Sprecyzował wówczas warunki obrony koniecznej państw w następujący sposób: „Wyraziliśmy życzenie, by na płaszczyźnie międzynarodowej była karana każda wojna, która by nie była narzucona przez absolutną konieczność obrony przed najcięższą niesprawiedliwością, wymierzoną przeciw społeczności, o ile nie da się jej usunąć innymi środkami, a co nawet jest konieczne wobec groźby umożliwienia w przeciwnym razie uciekania się swobodnie w stosunkach międzynarodowych do brutalnego gwałtu i deptania sumienia. By uciec się do gwałtownej metody jaką jest wojna, nie wystarcza więc obowiązek obrony przed każdą niesprawiedliwością. Gdyby szkody wyrządzone przez wojnę były nieporównanie większe od szkód wywołanych przez „tolerowaną niesprawiedliwość", jest się zobowiązanym do „poddania się niesprawiedliwości". To, co wyjaśniamy, odnosi się i jest ważne przede wszystkim w zastosowaniu do wojny A.B.C., atomowej, biologicznej i chemicznej."

(Według komentarza „Osservatore Romano" z 25 kwietnia 1954 r. p.t. „Fino a quando?").

ROK 1954 JEST ROKIEM MARYJNYM

Polecamy następujące książki Maryjne:

F. Werfel:
PIEŚŃ O BERNADECIE 2 tomy
Cena 30/-

M. Gawalewicz i P. Stachiewicz:
KRÓLOWA NIEBIOS
Cena 15/-

O. Maria W. Bernadot, O. P.:
MATKA BOSKA W NASZYM ŻYCIU
Cena 15/-

M. Winowska:
KTO MI ŁZY POWRÓCI
Cena 8/-

O. Romuald Kostecki, O. P.:
MODLITWA RÓŻAŃCOWA
Cena 3/6

Z NIEPOKALANĄ PRZEZ ŻYCIE
Cena -/9

Do nabycia w Kat. Ośrodku Wyd. „Veritas"
12, Praed Mews, London, W. 2.

GEN. STANISŁAW KOPAŃSKI

JAK WOJSKO POLSKIE WYZWOLIŁO WILNO

35 LAT TEMU?

Dnia 18 września 1915 roku, w drugim roku pierwszej wojny światowej, do Wilna wkraczali Niemcy. Kończyła się dość nagle 120-letnia niewola pod rządami Rosjan, rozpoczynała się okupacja wojenna niemiecka.

Przed przyjściem zimy Niemcy stanęli na ogolnej linii: Ryga (w ręku rosyjskim), Dźwina, na zachód od Dynaburga, który Rosjanie zdołali też utrzymać w swym ręku, jezioro Dryswiaty, jezioro Narocz, Smorgonie, Krewo, puszcza Nalibocka. Dalej na południe przez Baranowicze (w ręku niemieckim) i kanał Ogińskiego front wchodził na Wołyń.

Na tej ogólnej linii zastała walczące strony rewolucja rosyjska w marcu 1917 roku. Odbiła się ona od razu ujemnie na wartości bojowej sił zbrojnych państwa rosyjskiego. Wartość ta spadała stopniowo dalej.

Przewrót bolszewicki w Rosji (tak zwana rewolucja październikowa) otworzył drogę do rokowań pokojowych, które się rozpoczęły w Brześciu, w końcu grudnia 1917 roku i doprowadziły do podpisania tak zwanego pokoju brzeskiego w dniu 3 marca 1918 roku. Traktat z Urainą został podpisany jeszcze w lutym tegoż roku. Wojska niemieckie i austriackie zajęły Ukrainę (z Kijowem) i Odessę, dochodząc aż do Donu.

Na północy wojska niemieckie zajęły: Narwę, Psków, Połock, Orszę i Mohylów.

Niemcy zdołali zabrać z dawnego frontu rosyjskiego i rumuńskiego 40 dywizji na zachód, gdzie miały się decydować w nad wyraz ciężkich zmaganiach losy wojny i Europy powojennej.

Już 21 marca ruszyła ich pierwsza potężna ofensywa we Francji spod Cambrai i Saint-Quentin i dała Niemcom znaczne zyski terenowe, przenikając w ciągu 18 dni walk do 60 kilometrów w głęb terenu.

Podobne zyski dała Niemcom ofensywa kwietniowa we Flandrii.

Ofensywy majowa pod Soissons i lipcowa nad Marną, pod Chateau-Tierry, pozwoliły Niemcom zająć nowe, mniej znaczne tereny, lecz odpowiedzią na nie były potężne ofensywy sprzymierzonych zachodnich, które doprowadziły do militarnej i politycznej klęski Niemiec.

Już na konferencji dnia 14 sierpnia, wobec ponurego obrazu sytuacji militarnej i zewnętrzno-politycznej, cesarz Wilhelm zgodził się na rozpoczęcie starań o zawarcie pokoju. „20 sierpnia był czarnym dniem!" — woła Ludendorf. — „Nerwy wojska były chore. Nie znosiło ono już wszędzie gwałtownego ognia artylerii i natarć czołgów."

11 listopada nastąpiło zawarcie zawieszenia broni na warunkach podyktowanych przez państwa zachodnie. Cesarz Wilhelm uciekł do Holandii. Klęska odbiła się wielkim wstrząsem rewolucyjnym wewnątrz Rzeszy Niemieckiej.

Przed Polską otwierała się wreszcie droga ku wolności. Nie była ona łatwa. Powstające bowiem do niepodległego życia Państwo Polskie musiało od pierwszych miesięcy swego istnienia walczyć o odzyskanie lub utrzymanie swych ziem, zarówno na wschodzie, jak i na zachodzie. Walka z Ukraińcami galicyjskimi o Lwów, rozpoczęta w listopadzie 1918 roku, trwała do kwietnia 1919. W grudniu 1918 roku Wielkopolska (dawne Wielkie Księstwo Poznańskie) wyzwoliła się, powstając przeciwko Niemcom. Walki na froncie przeciwniemieckim trwały jednak aż do lata 1919 roku. W styczniu 1919 roku rozegrała się walka z Czechami o Śląsk Cieszyński.

Jak już wspomniałem, od początku 1918 roku Niemcy okupowali Ukrainę, Białoruś i kraje bałtyckie. Po zawarciu zawieszenia broni na Zachodzie rozpoczęli oni ewakuację tych ziem. Na mocy porozumienia pomiędzy naczelnym dowództwem polskim i dowództwem niemieckim, tak zwanym Ober-Ost'em, wyznaczono linię demarkacyjną polsko-niemiecką wzdłuż linii kolejowej Kowel-Brześć-Białystok-Grajewo, która pozostawała do użytku Niemców dla ich ewakuacji z Ukrainy.

W miarę jak Niemcy cofali się z Białejrusi, już od 17 listopada zaczęły krok w krok za nimi posuwać się ku zachodowi wojska sowieckie. Na przełomie roku 1918 i 1919 Niemcy opuścili Wilno. Zorganizowana tam doraźnie samoobrona polska nie zdołała zahamować marszu wojsk rosyjskich i utrzymać miasta w swym ręku, ulegając w nierównej walce.

Wobec groźby posuwania się Sowietów ku Polsce, jeszcze w grudniu 1918 roku polskie naczelne dowództwo wszczęło starania o przejazd wojsk polskich przez tereny zajęte przez Niemców dla wytworzenia zapory przeciwko wojskom sowieckim a w szczególności dla uprzedzenia ich w zajęciu Wilna. Jednak dopiero w pierwszych dniach lutego, i to wskutek nacisku dowództwa alianckiego, Niemcy zobowiązali się nie wpuszczać nadal wojsk sowieckich na opuszczane przez siebie tereny, aż do chwili, gdy na miejscu oddziałów niemieckich stana oddziały polskie.

Na podstawie tej umowy pierwsze oddziały polskie (dywizja litewsko-białoruska i grupa poleska) przesunęły się między 9 a 14 lutego przez strefę wycofujących sie wojsk niemieckich i znalazły się na linii rzeki Niemna, na wschód od Grodna, zajmowanego jeszcze przez Niemców. Dalej na południe obsadziły one Wołkowysk, Prużanę i Kobryń, wysunąwszy swe oddziały aż po Mosty (nad Niemnem), Zelwę, Szczytno, Berezę Kartuską i Antopol, gdzie weszły w styczność z wojskami sowieckimi.

Tak więc od drugiej połowy lutego 1919 roku powstawał tam nowy front polsko-sowiecki.

W początku marca Polacy zajęli Słonim, obsadzili linię rzeki Szczary i kanału Ogińskiego, zajęli Pińsk. Następnie posunęli się na północ od Niemna aż po Lidę.

Takie położenie trwało do połowy kwietnia, gdy Naczelny Wódz, Józef Piłsudski, zadecydował, mimo szczupłości swych sił, rozpocząć śmiałe działania na większą skalę, mające na celu wyzwolenie Wilna.

Siły rosyjskie, według danych posiadanych przez dowództwo polskie, tworzyły trzy większe zgrupowania: jedno — w obszarze Wilna, zwrócone ku zachodowi, przeciwko Litwinom i Niemcom na linii ogólnej Żośle-Orany. Drugie — obsadzało obszar Lidy i łączyło się słabszymi oddziałami w okolicy Nowogródka ze zgrupowaniem trzecim — w obszarze Baranowicz.

Pomiędzy Lidą a Wilnem istniała luka w ugrupowaniu nieprzyjaciela, którą Naczelny Wódz zdecydował wykorzystać.

Plan jego polegał na szybkim i ukrytym skoncentrowaniu na zachód od Lidy grupy kawalerii (brygada płk. Beliny-Prażmowskiego) i grupy piechoty (część przybywającej z opóźnieniem z kraju 1 dywizji piechoty legionów gen. Śmigłego-Rydza), a następnie na rzuceniu tych dwu grup na Wilno z pominięciem Lidy. Równocześnie inna grupa miała uderzyć na Lidę, by w ten sposób osłonić główny ruch na Wilno. W tym samym czasie miały rozpocząć się działania na Nowogródek i Baranowicze. Specjalna grupa w rejonie m. Skidel nad Niemnem obserwowała Niemców, wciąż jeszcze trzymających Grodno.

Dnia 16 kwietnia Brygada Kawalerii płk. Beliny-Prażmowskiego rozpoczęła marsz na Wilno. Składała się ona z 9 szwadronów kawalerii i plutonu artylerii konnej. Za nią wyruszyła część 1 dywizji piechoty legionów. 18 kwietnia kawaleria stanęła w rejonie Turgiele-Pawłów, a piechota dochodziła do Bieniakoń. O świcie 19 kawaleria zdobyła przez zaskoczenie dworzec kolejowy w Wilnie. Przeciwnik jednak, ochłonąwszy z pierwszego przerażenia, zaczął stawiać zacięty opór w północnej i zachodniej części miasta. Wieczorem przybyły na pomoc kawalerii pierwsze oddziały piechoty, podwiezione z Bieniakoń pociągiem, zdobytym rano na dworcu w Wilnie i wysłanym na ich spotkanie. Po ciężkich walkach przez cały dzień 20-go, w dniu następnym Wilno było wolne.

17 kwietnia, również po ciężkich walkach, zdobyto Lidę, 18 — Nowogródek, zaś 19 — Baranowicze.

Grupa wileńska, która wysunęła swe oddziały na linię Wilejka - Bezdany - Niemenczyn - Mejszagoła - Rykonty - Stare Troki, musiała w ostatnich dniach kwietnia odpierać bardzo silne uderzenia sowieckie, zmierzające do odebrania Wilna.

Niech mi wolno będzie teraz, po podaniu tła ogólnego wydarzeń, podzielić się wspomnieniami osobistymi z walk o Wilno, których miałem szczęście i zaszczyt być uczestnikiem.

* * *

W początku listopada 1918 roku, na pierwsze wieści o rozbrajaniu Austriaków, udałem się skrycie do Radomska, gdzie się tworzył z peowiaków szwadron kawalerii i pluton artylerii konnej. W plutonie tym szkoliłem młodzież spod Częstochowy i Radomska.

Wziąłem następnie udział, jako porucznik dowódca plutonu, w walkach pod Przemyślem i Lwowem od grudnia 1918 r. do kwietnia 1919 r. Poznałem bohaterski Lwów bez światła i wody, otoczony pierścieniem przez przeciwnika.

Po tych kilku miesiącach walk o nasze ziemie południowo-wschodnie, pluton mój zmęczony i zużyty fizycznie, lecz już doświadczony bojowo, został w dniach 4-7 kwietnia przewieziony z Gródka Jagiellońskiego do Warszawy.

Tam dowódca tworzącej się artylerii konnej, płk Dunin-Wolski, zapytał mnie, czy wolę, by pluton mój uzupełniał się w Warszawie, czy też poszedł na front, by tam połączyć się w baterię ze znajdującym się gdzieś w grupie zaniemeńskiej plutonem kapitana Hózman-mirzy-Sulkiewicza, dowódcy pierwszej konnej baterii, tatara litewskiego.

Po kilkudniowym postoju w stolicy żołnierz chętnie przyjął decyzję odejścia z Warszawy w nieznanym kierunku. 11 kwietnia wieczorem załadowano konie i ludzi na Dworcu Wschodnim i przewieziono tam wprost z cytadeli nowe działa. Były to działa polowe niemieckie, tzw. „sechs und neunzig, neuer art" z odlanym na lufie dumnym napisem „ultima ratio regis" — „ostatni argument króla".

Na rampach dworca ładowały się również dwa legionowe pułki kawalerii: 1 szwoleżerów i 11 ułanów.

Nazajutrz rano transport nasz był już za Bugiem, pod Czeremchą, i wieczorem stanął na stacji Skrzybowce, gdzie kazano mu szybko wyładować się. W drodze i w Skrzybowcach staraliśmy się poznać swe nowe narzędzie walki, którego nikt z trzech oficerów plutonu ani też żaden z podoficerów nie znał.

W Skrzybowcach otrzymałem rozkaz zameldowania się u płk. Beliny - Prażmowskiego, dowódcy Brygady Kawalerii. Dowiedziałem się od niego, że w Lidzie są Rosjanie i, co najważniejsze, że Komendant zdecydował marsz na Wilno. Zameldowałem Belinie, że niedaleko, w Bielicy nad Niemnem, stoi dowódca baterii kpt. Sulkiewicz, który ma uzupełnić mój pluton, że brak jest koni, telefonow, wozów co amunicji i szeregu innych niezbędnych przedmiotow wyposażenia oraz że bez uzupełnienia tych braków przez Sulkiewicza pluton zupełnie nie jest zdolny do walki.

Po pewnym czasie Belina wezwał mnie ponownie i spotkawszy mnie słowami: „Chodźmy do Komendanta", poprowadził do salonki, stojącej na stacji.

Poznałem od razu Naczelnika Państwa, przed którym już miałem zaszczyt defilować w Przemyślu, w grudniu 1918 roku, w składzie 1 pułku ułanow Krechowieckich. Byli tam obecni jeszcze dwaj generałowie. Jednym z nich był bodaj gen. Rozwadowski. Belina kazał mi meldować o moich trudnościach. Mimo mego bardzo fachowego i przekonywującego, w mym własnym mniemaniu, meldunku, którego obecni dygnitarze wysłuchali z uwagą, Komendant krótko oświadczył: „A jednak, poruczniku, pomaszerujecie". Belina dał znak, że dalsze meldowanie czegokolwiek jest zbyteczne i wyszedł razem ze mną.

Dnia 15 kwietnia marsz przez Małe Możejkowo, most szosowy przez Lebiode, płynącą uroczą w tej porze doliną, do Papierni.

Dnia 16 kwietnia, o świcie pięknego poranka wczesnej jeszcze wiosny, początek marszu na Wilno traktem przez Myto i Krupę, omijając od zachodu Lidę.

Młoda Brygada Kawalerii płk. Beliny-Prażmowskiego w składzie 1 pułku szwoleżerów, 11 pułku ułanów, dwóch szwadronów 4 pułku ułanów i plutonu artylerii konnej posuwała się już uporządkowana, lecz dość nierównym tempem, jak to zawsze bywało z niewciągniętymi jeszcze oddziałami kawalerii, piaszczystym traktem na Myto, gdy dowódcy zostali powiadomieni, że przy trakcie, na lewo od kierunku marszu, stoi Komendant Piłsudski. 1 pułk szwoleżerów, dowodzony przez majora Gustawa Orlicz-Dreszera i 11 pułk ułanów, pod dowództwem majora Mariusza Zaruskiego, wiwatowały na cześć Komendanta.

Gdy Brygada przechodziła przez wieś Krupa, usłyszeliśmy z kierunku Lidy silny wybuch. Domyślaliśmy się, że walka o Lidę trwała i że Brygada wchodziła pomiędzy zajęte przez nieprzyjaciela Wilno i jeszcze nieopanowaną przez nas Lidę, a więc rozpoczynała wyraźnie operację zagonową.

W pogodne wiosenne popołudnie zamajaczały daleko w prawo wysokie drzewa traktu Lida-Wilno. Pluton 11 ułanów skierował się na przełaj ku traktowi, by ubezpieczyć od południa, od strony Lidy, Brygadę, która wchodziła na trakt pod Wielkim Siołem.

Marsz dalszy przez Żyrmuny. Nocleg dla artylerii w Sokołach. Nazajutrz, 17 kwietnia, od świtu marsz dalej traktem wileńskim przez Woronowo (późniejszy Werenów), Bieniakonie, Wielkie Soleczniki.

W Bieniakoniach odpoczynek, wzruszające spotkanie przez ludność, która wyszła na powitanie z chlebem i solą oraz z chorągwiami kościelnymi. Na nich chłopcy plutonu, rekrutującego się spod Jasnej Góry, spostrzegają wizerunek Najświętszej Panny Częstochowskiej.

Nocleg w Małych Solecznikach. Trudno przed świtem opuscić wygodne łóżko na plebanii u gościnnego proboszcza. Mimo że na szczeblu plutonu odpowiedzialność za bieg operacji jest bardzo ograniczona, oficerowie stawiali sobie pytania: Co się dzieje na naszych tyłach w Lidzie? Czy spotkamy przed Wilnem nieprzyjaciela? Czy wie on, że Brygada wykonuje operację zagonową na Wilno?

Wymaszerowując 18 kwietnia z Małych Solecznik, Brygada zeszła z traktu, wiodącego przez Jaszuny na Wilno i skierowała się na Turgiele i Pawłowo. Pluton artylerii stanął około południa na zachodnim skraju Turgiel, zwanym Długa Ulica, gdzie ludzie starali się ogrzać na wiosennym słońcu, mając przed sobą piękny widok na dolinę Mereczanki. Belina zawiadomił, że dalszy ruch odbędzie się nazajutrz o świcie. Wbrew tej zapowiedzi Brygada została podjęta do marszu po zapadnięciu zmroku. Jak wieść głosiła, major Dreszer przekonał płk. Belinę, że ostatni etap musi być uwieńczony zaskoczeniem przeciwnika przez nagłe uderzenie na miasto o świcie.

Tak więc w nocy z Wielkiego Piątku na Wielką Sobotę Brygada posuwała się traktem przez Rudomino. Pamiętam jak dzisiaj oświetlony kościół w Rudominie i rozlegające się z niego chóralne pienia wielkopostne. Po przekroczeniu rzeczki Niemierzanki, o 2 - 4 km od zbiegu traktów z Rudomina i Jaszun, Brygada została zatrzymana.

Zbliżanie się świtu dawało znać o sobie przez znaczne ochłodzenie powietrza, pierwsze rumieńce zorzy porannej i świergot budzącego się ptactwa w pięknym lesie, którego skrajem zachodnim przechodził trakt. Brygada stała wzdłuż traktu i słychać było dociąganie z tyłu ostatnich oddziałów, gdy dowódcy zostali wezwani na odprawę przez dowódcę Brygady, znajdującego się na skraju lasu blisko czoła kolumny. Major Piskor, szef sztabu, podał zamiar dowódcy Brygady, w myśl którego pierwszą akcją miało być zdobycie stacji kolejowej przez 11 pułk ułanów.

Gdy skończono odprawę, już świtało. Od północy, od strony Wilna, od którego dzieliło zebranych 5-6 km, słychać było głośne, o charakterystycznym niskim tonie, syreny parowozów rosyjskich, które niejako uprzedzały, że na dworcu są transporty, może z wojskiem.

Rozeszły się wachlarzem podjazdy; Brygada wchodziła do walki.

Zatrzymałem swój pluton u zbiegu gościńców lidzkiego i oszmiańskiego, polecając memu zastępcy ustawić działa na stanowisku bojowym, sam zaś wysunąłem się naprzód, na przedmieście Lipówka, by na jednym z dachów urządzić punkt obserwacyjny. Wykonywałem w ciągu ostatnich lat tę czynność zawodową tak często, że stawała się ona niemal mechaniczną. Uwagę moją przykuwał teren tylko z punktu widzenia szans własnych i przeciwnika.

Lecz tym razem było to co innego. Oto leżało przede mną Wilno w całej swej okazałości i krasie. Wilno, znaczone wieżami swych przepięknych kościołów o tak mi dobrze znanych sylwetkach. Leżało to miasto polskie z ducha i kultury, które nie uległo przemocy w ciągu przeszło stuletniej niewoli i do którego oto za chwilę wejdą oddziały polskie, może szczęśliwsze od tych, w których służył mój dziad, co przed prawie 90 laty, w 1831 r., walczyły u progu Wilna — w górach Ponarskich.

Widać jak 11 pułk ułanów, kręcąc się wężowato wzdłuż zagięć ulicy, schodzi ku stacji kolejowej i znika zakryty budynkami Nowego Światu. Za chwilę rozlegają się pierwsze odgłosy walki o stację. Sądząc z nich, jest ona gwałtowna lecz krótka, bo oto strzelanina wkrótce staje się mniej intensywna i oddala się.

Podchodzi do mnie Belina, mówiąc: „Poruczniku, strzelajcie w ulicę Niemiecką, gdzie walczy 11 pułk ułanów". Jako artylerzysta rozumiem, że nie widząc posuwania się oddziałów ani wybuchów mych pocisków, strzelać nie mogę. Tłumaczę więc, że nie mogę rozpoznać ze swego punktu obserwacyjnego ulicy Niemieckiej. Belina odchodzi, a ja, widząc ruch taborów, opuszczających Wilno ulicą Kalwaryjską posyłam tam kilka granatów.

Po chwili wraca Belina z planem Wilna wykonanym przez Niemców z nazwami ulic w języku niemieckim. Słysząc strzały artylerii odchodzi zadowolny. Plan obcojęzyczny niepotrzebny mi do rozpoznania Wilna, ale zdaję sobie sprawę, że artyleria moja może odegrać rolę w zdobyciu miasta tylko przez bezpośredni ogień w walce ulicznej.

Około godziny 2 po południu telefonuje do mnie ze stanowiska plutonu porucznik Sarnecki, starszy z mych oficerów, zawsze dzielny i ofiarny. Jest to mińszczanin, który kształcił się w gimnazjum w Wilnie. Poznałem go w czasie wojny, w szkole artylerii w Petersburgu, gdzie Sarnecki był o kurs młodszy. Następnie spotkaliśmy się, już jako oficerowie, w rosyjskiej baterii konnej, razem też służyliśmy w dywizjonie artylerii konnej u Dowbora.

Sarnecki melduje mi, że major Dreszer chciałby jedno działo użyć w walce ulicznej, by ułatwić 1 pułkowi szwoleżerów zdobycie Placu Katedralnego. Poza tym Sarnecki dodaje, że z trudnościa może sobie dać radę w strzeżeniu licznych jeńców, odsyłanych na stanowisko plutonu. Zgadzam się na propozycję Dreszera i decyduję się sam prowadzić działo, biorąc ze sobą porucznika Sarneckiego.

Wieści są dobre. Oto po zdobyciu stacji, gdzie zaskoczono w transporcie bolszewików, posłano pociąg na spotkanie 1 dywizji piechoty do Jaszun czy też nawet do Bieniakoń. Polska organizacja robotnicza św. Kazimierza otrzymała broń po bolszewikach i stanęła ochotniczo do walki obok żołnierzy.

Działon (znaczy to działo i jaszcz z obsługami) wchodzi pod wiadukt kolejowy i z łoskotem maszeruje ulicą Ostrobramską. Oto za chwilę pierwsze polskie działo po tylu latach niewoli wejdzie przez tę świętą bramę do miasta. Przed Ostrą Bramą zatrzymuję działon i podaję głośno komendę: „Czapki zdejm!". Zwraca to uwagę tłumu kobiet, modlących się po drugiej stronie Bramy na ulicy, przed cudownym obrazem. Rzucają się one do jadących konno żołnierzy, witając ich, całując niekiedy po nogach. Podniecenie i entuzjazm udzielają się żołnierzom. Oto ci chłopcy spod „Jasnej Częstochowy" szli wyzwalać miasto Tej, co „w Ostrej świeci Bramie". I miasto ich wita jak swoich, tak dawno upragnionych.

Maszeruje działon ulicami Wielką i Zamkową, słychać coraz wyraźniej ogień karabinów maszynowych i broni ręcznej od strony placu Katedralnego.

Zatrzymuję działon, nie dojeżdżając do zaułka Bernardyńskiego i udaję się sam z majorem Dreszerem ku wylotowi ulicy Zamkowej. Za róg ulicy na plac wychylić się nie można. Leżą tam obok siebie, spoczywając snem wiecznym, szwoleżer i robotnik wileński — obaj równie ofiarni żołnierze Rzeczypospolitej. Wchodzimy więc z majorem Dreszerem do późniejszego gmachu Województwa wejściem od Zamkowej. W pokojach, mających okna na plac, istne piekło. Szwoleżerowie tuląc się do framug okiennych, strzelają w stronę wylotu ulicy Mickiewicza (tzw. przedtem przez Rosjan Świętojerski Prospekt). Ściany pustych pokojów głośnym echem odbijają wystrzały. Pociski karabinowe przeciwnika, wlatując przez okna, z hałasem odskakują od ścian. W pokojach trupy zabitych i ranni. Po pobieżnym zorientowaniu się w położeniu przez okno, opuszczam z ulgą złowrogi budynek.

Po powrocie do działonu nakazuję pozostawienie jaszcza, przodka i koni na ulicy Zamkowej oraz przetoczenie samego działa przez obsługę przez zaułek Bernardyński pod Cielętnik. Działo dudni głośno po „kocich łbach" wąskiego zaułka. Oto jego wylot. Jakby się chętnie oglądało ponownie po tylu latach śliczny gotycki kościółek św. Anny i drewniane ołtarze Bernardynów!

Ostrożnie wzdłuż ogrodzenia Cielętnika pod osłoną jego drzew, kryjących od nieprzyjaciela, obsługa podtacza działo aż prawie do wylotu Zamkowej.

Tam celowaniem na wprost, celowniczy, kapral Herse, skierowuje strzał pomiędzy katedrę a dzwonnicę na dom narożny, dobrze znany Sarneckiemu i mnie, jako dom Burharda, z którego okien strzelają karabiny maszynowe przeciwnika. Stojący na bruku, w pobliżu miejsca dawnego pomnika Katarzyny, ckm szwoleżerów, widoczny przeciwnikowi jak na dłoni, z trudnością odstrzeliwuje się. Dreszer stoi na przeciwległym od działa rogu Zamkowej i żąda jak najszybszego otwarcia ognia. Po pierwszym strzale działo, nie mając oparcia, toczy się w tył po bruku, obalając celowniczego, kaprala Hersego. Obsługa posuwa je z powrotem. Po dalszych paru granatach ogień przeciwnika słabnie. Jeden z pocisków zawadził o dzwonnicę i wyżłobił półokrągło jej ścianę. Ślad ten pozostał na stałe po późniejszym odmalowaniu dzwonnicy.

Nakazuję wtoczyć działo do Cielętnika pod tzw. kiedyś willę Renenkampfa (późniejszy Inspektorat Armii). Działo oddaje strzał, przy czym na obsługę sypią się z brzękiem szyby z okien willi. Jakaś dobroczynna ręka kobieca podaje przez te okna żołnierzom papierosy i wodę.

Lecz Dreszer zawiadamia mnie, że przeciwnik przechodzi do przeciwuderzenia i że skutkiem strat i zmęczenia szwoleżerów może nie być w stanie utrzymać placu Katedralnego. Nakazuję natychmiast wycofanie działa. Obsługa pcha w pośpiechu działo na wylot Zamkowej. Lecz oto niespodziewana przeszkoda. Skutkiem ognia artylerii druty telegraficzne spadły ze słupów i utworzyły kłębowisko nie do przekroczenia. Do ich usunięcia przydały się żołnierzom artylerii konnej szable, które mieli przy boku.

Gdy wreszcie wyczerpana obsługa wtłoczyła działo w ulicę Zamkową, okazało się, że na skutek rzadkiego ognia przeciwnika przodek odjechał. Złapawszy jaszcz, doczepiło się do niego działo, by je w ten sposób doprowadzić do ulicy Wielkiej, gdzie oczekiwali zawstydzeni jezdni przodka.

Koło wiaduktu kolejowego poczciwy kolejarz wileński, widząc zmęczony oddział artylerii z radosną miną oświadcza: „Tylko co przywieźlim piechota z Bieniakoń, cały eszałon".

Działon dołącza do swoich na przedmieściu Lidzkim (Nowy Świat). Zostaję wezwany przez płk. Belinę na odprawę dowódców. Zapada decyzja, że w ciągu nocy na linię walki wejdą przybyłe oddziały piechoty, luzując przemęczone i skrwawione pułki: 1 szwoleżerów i 11 ułanów. Dowódcy odcinków z tych pułków pozostaną jednak nadal na swych posterunkach, jako lepiej obznajomieni z położeniem. Znużony nocnym marszem i dzienną walką nie słyszę dalszych rozkazów i siedząc na odprawie smacznie zasypiam. Budzi mnie ruch. Odprawa skończona.

20 kwietnia 1919 roku, dzień Zmartwychwstania Pańskiego.

Wynędzniałe i głodne Wilno święci tę Wielkanoc z wyjątkową radością. Lecz miasto nie jest jeszcze całkowicie wolne. Nieprzyjaciel trzyma się za Wilią. Jeszcze broni on ze Snipiszek dojść do Zielonego mostu. Plac Katedralny jest wprawdzie wolny, lecz wszelki ruch ulicą Mickiewicza nie jest bezpieczny, bo wzdłuż poprzecznych ulic od strony Wilii leży ogień karabinów maszynowych przeciwnika. Około południa dostaję rozkaz od Beliny, bym znowu dał jeden działon do walki ulicznej dla ułatwienia majorowi Dreszerowi sforsowania przejścia przez Zielony most. Wyznaczam inny działon, który prowadzę sam, biorąc do pomocy młodszego oficera, podporucznika Józefowicza, mego kuzyna, wychowanego w Kownie, znającego również Wilno. Był on kolegą Sarneckiego z politechniki i szkoły artylerii w Petersburgu.

Działon pozostawia przodek, jaszcz i konie przy katedrze, a obsługa rozpoczyna toczyć działo ulicą Mickiewicza, ostrzeliwaną od strony Wilii, pustą i ponurą. Przed dojściem do wylotu ul. Mostowej, prowadzącej do Zielonego mostu, ogień staje się gęstszy. Skwerek z kapliczką prawosławną w środku nie daje osłony. Obsługa dociąga z trudnością samotne działo do Mostowej, po czym wylotem naprzód, kryjąc się za tarczą działa, zaczyna powoli toczyć je w dół w kierunku ku mostowi. Pociski karabinowe przeciwnika z trzaskiem uderzają tu i ówdzie o kamienie bruku i z rzadka bębnią po tarczy działa, jak krople deszczu po parasolu.

Z tyłu pada kilka strzałów karabinowych. Strzelają, jak się później okazuje, miejscowi komuniści. Kapral Herse odstrzeliwuje się z pistoletu Mausera o długiej kolbie, po czym paru kanonierów robi ze strzelającymi porządek. Komuniści celowali w dowódcę, gdyż strzały ich trzy razy drasnęły me ramię.

Sam spełniam rolę celowniczego, a Józefowicz — zamkowego. Działo oddaje strzał do wieżyczki domu Radoszkiewicza za Wilią, z której strzela ckm nieprzyjaciela. Czuję lekki ból w lewym ramieniu, koło obojczyka. Oddaję jeszcze dwa strzały, po czym czuję gwałtowny ból w lewym oku, które zalewa mi krew. Uprzedzam więc ppor. Józefowicza, że jestem ranny i muszę odejść. Józefowicz zastępuje mnie.

Zaczynam iść pod silnym ogniem, tuląc się do domów, w górę, ku ulicy Mickiewicza. W bramie w pobliżu działa widzę kanoniera Noconia, który nie mógł już nerwowo wytrzymać silnego ognia. Nocoń na rozkaz swego rannego dowódcy wraca natychmiast do działa.

Punkt opatrunkowy znajduje się na pietrze na rogu Wileńskiej i Mickiewicza. Oko opatruje mi dr Achmatowicz, po czym jedna z pań pracujących jako siostra odprowadza mnie do sanitarki, stojącej na rogu przy

(Dokończenie na str. 4)

ARTYSTA WŁOSKI ZAMIŁOWANY W POLSKICH TEMATACH

Na ostatnim zebraniu Polskiego Instytutu Historycznego w Rzymie usłyszeliśmy ciekawy odczyt Emeryka Czapskiego o wielkim florentczyku Stefanie Della Bella (XVI w.), który swą twórczością artystyczną zostawił głęboki ślad w stosunkach kulturalnych polsko-włoskich. Bogata jego twórczość (rysunki, miedzioryty) obejmuje 1052 pozycji rozproszonych dziś w świecie po różnych muzeach. Najbogatsze są w Londynie w British Museum, w Louvre, we Wiedniu i w rodzinnej Florencji.

Stefan Della Bella (1610-1664) pochodzi z Florencji, która wysunęła się wtedy na czoło świata cywilizowanego, z rodziny artystów. Ojciec był rzeźbiarzem. Stefan uczył się u złotnika, a potem u znanego rytownika i rysownika Jakuba Callot. Młodym, biednym chłopcem zainteresował się znany mecenas sztuki Don Lorenzo z rodziny Medyceuszów. Pomagał mu materialnie i umożliwił mu studia w Rzymie. Stefan był świadkiem wspaniałego wjazdu ambasadora polskiego Ossolińskiego, który wywarł na nim ogromne wrażenie i pobudził do wykonania największego dzieła jego życia.

Artysta przedstawił to poselstwo (w roku 1633), złożone z 300 jeźdźców na 6 rycinach ok. 2 i pół metra długości. Był to obraz wspaniałego przepychu i bogactwa Polski — piękne rumaki w złoconych uprzężach, wielbłądy, bogate, lśniące stroje polskie i węgierskie, mnóstwo złota i drogich kamieni.

Drugą okazją zetknięcia się z Polakami był znowu wjazd poselstwa polskiego do Paryża, przybywającego z prośbą o rękę Ludwiki Gonzagi dla króla polskiego. Della Bella przebywał w tym czasie na studiach dalszych w Paryżu. Powstało nowe wielkie arcydzieło mistrza — 14 scen wjazdu. Ryciny te zostały jednak tylko w rysunku i nie były, jako zbyt duże, nigdy rytowane w całości. Można je zobaczyć w British Museum. Interesującym i ważnym jest podany tu spis nazwisk i to bez błędów.

W Paryżu znalazł artysta możnych opiekunów (kard. Richelieu i Mazzarini) i tu też powstała większość jego rysunków. Mimo sławy tęsknił do kraju, gdzie wrócił w r. 1650. Niedługo już pracował, zachorował i umarł we Florencji w r. 1664.

Poza wymienionymi dwoma wielkimi arcydziełami artysta wykonał wiele rycin, przedstawiających sceny z życia polskiego, postacie polskich rycerzy i polskich dygnitarzy. Ogółem wśród wszystkich jego dzieł jest 30 rycin na tematy polskie, ale są to dzieła najbardziej wartościowe i największe.

Chociaż więc w Polsce nigdy nie był, miał jednak Della Bella umiłowanie do spraw polskich i niewątpliwie ożywił stosunki kulturalne polsko-włoskie.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 16 maja 1954

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

NOWA POWIEŚĆ MAURIACA. W czerwcu nakładem Flammariona ukaże się w Paryżu nowa powieść François Mauriaca „L'Agneau". Bohaterowie jej, Brigitte Pian i Jean de Mirbei, znani są już z jednego z dawniejszych utworów powieściowych Mauriaca „La Pharisienne".

Jak autor zaznaczył w wywiadzie udzielonym „Figaro Littéraire", między dramatami obu utworów nie ma żadnego związku, poza psychologią bohaterów. Niektóre rysy Jean de Mirbela, który z młodzieńca stał się człowiekiem dojrzałym, są bardziej zrozumiałe dla czytelnika, znającego „La Pharisienne".

Jean de Mirbel — mówiąc słowami Mauriaca — jest człowiekiem, który otrzymał od Boga powołanie nieszczęścia. Autor zamieścił jako motto powieści słowa Simone Weil: „L'amour infiniment tendre qui m'a fait le don du malheur". Przeznaczeniem Mirbela jest cierpieć w miejsce innych oraz cierpieć i umrzeć przez innych i za innych.

Mauriac nie chce pozbawiać czytelników czynnika tajemnicy przez ujawnianie z góry treści. Zaznacza jednak, że ostatni rozdział jest „krwawy" i że niektórzy są przekonani, że chodzi tu o samobójstwo, inni, że o morderstwo.

Rzecz rozgrywa się w Bordelais, gdzie Mauriac spędził swe dzieciństwo; atmosfera tej ziemi „ożywia" jego bohaterów.

SPRAWY POLSKIE U CHURCHILLA. Prasa brytyjska omawia tom szósty pamiętników wojennych Churchilla, który właśnie ukazał się na półkach księgarskich pt. „Triumph and Tragedy" (Cassell, cena 30 sh.) Recenzenci poświęcają na ogół niedużo miejsca sprawom polskim, tu i ówdzie znajdujemy jednak znamienne uwagi na ten temat.

Churchill — stwierdza sprawozdawca „Times Literary Supplement" — nie czyni wysiłków, by wyprzedzić wyrok historii w tych sprawach. Opowiada on o tej „bolesnej historii" w taki sposób, by mówiła sama za siebie, bez rekryminacyj. „Przy tych rzadkich okazjach, kiedy próbuje zaokrąglić swe sprawozdanie jakimś ogólnym sformułowaniem o charakterze zasadniczym, powraca zawsze i tylko do dominujących bezwzględnie wydarzeń wojennych, i to nawet jeszcze w r. 1945. Oto jego ostatnie słowo na temat kwestii polskiej:

„Nie wolno tym, na których spoczywa ciężar borykania się z wydarzeniami w czasie wojny lub kryzysu, ograniczać się wyłącznie do stwierdzenia szerokich zasad ogólnych, co do których zgodni są ludzie uczciwi. Konieczną jest rzeczą podejmowanie określonych decyzji z dnia na dzień... Cóż by się stało, gdybyśmy kłócili się z Rosją, kiedy Niemcy wciąż jeszcze mieli 200 lub 300 dywizji na froncie wojennym? Naszym pełnym nadziei przypuszczeniom miał być wkrótce zadany kłam. A jednak w swoim czasie stanowiły one jedyną możliwość".

Nie można powiedzieć, by te słowa Churchilla były przekonywujące, jeśli chodzi o końcowy okres wojny.

W dalszym ciągu recenzji czytamy, że Churchill — rzecz charakterystyczna — bardziej surowo (more bitterby) gani siebie samego za utratę Singapore w r. 1942, niż za utratę Polski w r. 1945.

Recenzent „Manchester Guardian" (również anonimowy) wyraża wątpliwość, czy słuszne są pewne twierdzenia Churchilla, dotyczące granicy zachodniej Polski. Churchill deklaruje, że gdyby to on — a nie Attlee — występował jako przedstawiciel Wielkiej Brytanii w Poczdamie, nie zgodziłby się nigdy na przyznanie Polsce żadnych terytoriów, położonych na zachód od Odry i Nysy Kłodzkiej (w oryginale: Eastern Neisse) i raczej doprowadziłby do rozbicia konferencji. Zdaniem recenzenta wątpić trzeba, czy Churchill naprawdę by się na to zdobył; w panującej wówczas atmosferze nie mógłby prawdopodobnie postąpić inaczej niż Attlee. W każdym razie, jak przyznaje sam Churchill, właściwym czasem do załatwienia tych zagadnień była godzina tryumfu, zanim Amerykanie się wycofali i wydali „serce i wielkie obszary Niemiec Rosjanom".

Recenzent podkreśla ze swej strony, że krytykowanie Amerykanów za to, iż dopuścili armię czerwoną do wtargnięcia tak głęboko w Europę Środkową, osłabione jest u Churchilla jego własną relacją o pogawędkach ze Stalinem na temat procentowego podziału wpływów obu stron na Bałkanach i w Europie Środkowej.

„DZIECI HIROSZYMY". W jednym z kinoteatrów paryskich wyświetlany jest obecnie doskonały film japoński „Les Enfants de Hiroshima", nagrodzony na festiwalu filmowym w Cannes. Jak podkresla korespondent „Manchester Guardian", obrazu tego nie wyświetla się ani w Stanach Zjednoczonych ani w Anglii, gdyż producenci obawiają się, że mógłby ludzi razić, choć w rzeczywistości nie ma w nim niczego anty-amerykańskiego. W Paryżu sala w czasie przedstawienia jest zwykle pusta co najmnej w jednej trzeciej, ale przyczyna tego jest niewątpliwie inna; po prostu ludzie nie lubią sobie przypominać o pewnych rzeczach; stąd od pewnego czasu niepopularność obrazów z okresu wojny i na jej tle.

Niezależnie od tego film o „dzieciach Hiroszymy" spotkał się z gorącym przyjęciem najlepszych krytyków francuskich.

ZAPISKI LONDYŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatniego okresu.

NOWA SZTUKA CHRISTOPHERA FRY

Christopher Fry, po Eliocie najbardziej dziś ceniony angielski pisarz dramatyczny, autor „Venus Observed" i „A Sleep of Prisoners", wystąpił z nową sztuką: „The Dark is Light Enough", ktora grana jest obecnie w teatrze Aldwych.

Tłem sztuki jest powstanie węgierskie w r. 1849, a główną postacią męską dezerter z wojsk powstańczych Richard Gettner. Uwaga autora skupiona jest jednak na czołowej postaci kobiecej, hrabinie Ostenburg, która ukrywa w swej rezydencji Gettnera, człowieka zresztą bez wartości moralnej, tchórza i pijaka. Przez swą wyzywającą nieostrożność hrabina naraża poważnie bliskie sobie osoby, w szczególności swego zięcia, trwa jednak mocno przy swym stanowisku. Dramatyczne napięcie dochodzi do punktu kulminacyjnego w akcie ostatnim; hrabina umiera.

Sztuka pisana jest wierszem, podobnie jak poprzednie utwory sceniczne Fry'a.

Rolę hrabiny gra dobrze Dame Edith Evans; reszta wykonawców, jak stwierdzają krytycy, daleka jest od osiągnięcia tego poziomu.

WYSTAWA ROYAL ACADEMY POD OBSTRZAŁEM

Letnia wystawa Akademii Królewskiej, otwarta kilka dni temu, nie ma zbyt dobrej prasy. Recenzent „Sunday Times' John Russell stwierdza z uznaniem, że obrazy młodszych malarzy — na których największy wpływ wywiera obecnie Ruskin Spear — ożywiają wystawę. Russell zaznacza jednak, że wśród 1.365 pozycji katalogu wystawy wiele dostało się tam chyba pod wpływem jakiegoś „demonicznego humorysty". Recenzent krytykuje zwłaszcza eksponaty działu architektonicznego. Spośród zatwierdzonych przez Akademię projektów jeden za drugim, jeśliby był wprowadzony w życie, oznaczałby niszczenie londyńskiej City i zaprzepaszczenie w ten sposób sposobności, jakiej nie było od czasu wielkiego pożaru w r. 1666.

Duży portret Królowej („State portrait"), wykonany przez p. Gunna, spotkał się z krytyką sprawozdawcy „Observera" Nevile Wallisa. Strój koronacyjny i regalia — stwierdza Wallis — odtworzone zostały z drobiazgową dokładnością, ale rzecz jako całość miałaby uznanie bardziej powszechne, gdyby wyraz twarzy na portrecie choć trochę przypominał Królową.

Wystawa obejmuje, podobnie jak w roku ubiegłym, pewną ilość malowideł Winstona Churchilla.

WIECZÓR TRZECH DEBIUTANTÓW

Dnia 27 kwietnia odbył się w Ognisku Polskim w Londynie staraniem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie wieczór autorski trzech młodych poetów, których tomiki ukazały się niedawno w sprzedaży nakładem Polskiego Towarzystwa Literackiego: Wojciecha Gniatczyńskiego, Zygmunta Ławrynowicza i Floriana Śmieji.

Wieczór zagaił ze zwykłą swadą prof. Stroński. Podkreślił niewiarygodny wprost na forum Związku Pisarzy fakt, że żaden z poetów nie ma jeszcze lat 30. Przyćmione światła na sali nie pozwoliły jednak dostrzec przewodniczącemu, że publiczność nie składała się ze zwykłych bywalców imprez Związku, ale że większość jej stanowi właśnie młodzież. Impreza ta raz jeszcze uwydatniła hermetyczną niemal ekskluzywność „pokoleń": gdy popisują się starzy, młodzież nie przychodzi; gdy dano raz głos młodym, nie przyszli starzy. O tempora, o mores...

Z kolei przedstawił poetów ich patron mgr Józef Bujnowski, celnie określony przez prof. Strońskiego jako mediator między generacjami. Dzięki jego inicjatywie doszło do skutku powstanie Polskiego Towarzystwa Literackiego z własną drukarenką oraz wydanie tomików debiutujących poetów i obecny wieczór. P. Bujnowski mówił o trudnościach przedsięwzięcia i podkreślił wkład samych poetów w techniczną stronę pracy wydawniczej. Następnie zabrali głos poeci, czytając swoje wiersze na przemian po kilka.

Wojciech Gniatczyński pochodzi z Poznania. Do tomiku swego doszedł przez niemiecki kacet, gimnazjum w Anglii i studia w Irlandii, zakończone dyplomem B. A. Swój tomik zatytułował skromnie **Próby**. Wiersze czytane przez niego wykazują indywidualny, jeśli nie całkiem jeszcze skrystalizowany styl. Gniatczyński ma zdolność refleksji i zdyscyplinowaną uczuciowość (np. **Gdy będę odjeżdżać**). Najlepszym z czytanych przez niego wierszy był **Cień nadziei**, o celnej metaforyce. Należy życzyć dalszej pracy i osiągnięć poecie, który niewątpliwie posiada to, co w poezji jest może najbardziej istotne: wizję.

Głęboką wizją poetycką odznacza się drugi debiutant Zygmunt Ławrynowicz, pochodzący z Litwy Kowieńskiej, który także ukończył gimnazjum w Anglii oraz odbył studia w Irlandii, zakończone dyplomem B. A. Zbiór jego poezji nosi tytuł **Epitafium jesieni**. „Co tam młodzian może wiedzieć o jesieni", zauważył prof. Stroński, ale poeta dowiódł swej wiedzy. Jego doznania przeniesione zostały z artystyczną szczerością na język poezji, urzekając wierszami takimi jak **Mirella**. W wierszu **Do młodych poetów w Kraju** Ławrynowicz uderzył w nutę narodowej misji poezji. Uczucie, refleksja, szczerość, to cechy jego poezji. Brakiem jest może zbyt mała awangardowość formalna, niezupełne jeszcze wyzwolenie z tradycji dziś mniej cenionych. Ale jako prawdziwy poeta, Ławrynowicz znajdzie niewątpliwie swą „cudowną miarę".

Florian Śmieja pochodzi ze Śląska i podobnie jak dwaj jego koledzy ukończył studia w Irlandii. Obecnie kontynuuje pracę naukową na uniwersytecie londyńskim. Jego tomik zatytułowany jest **Czuwanie u drzwi**. Wiersze czytane przez Śmieję na wieczorze stanowiły znaczne osiągnięcie formalne. Jest on poetą niezwykle starannym, o wnikliwym zmyśle obserwacyjnym i dyscyplinie intelektualnej, uwidocznionych np. w **Paryżu o swicie**, a zwłaszcza w najlepszym chyba jego wierszu **Katalonia**. Uczucie jest żywe u Śmieji (np. w wierszu, w którym komentuje nędzę irlandzką), ale zawsze podporządkowane wymogom racjonalnie kierowanego artyzmu. Miejscami niektóre wiersze są może zbyt wypracowane, ale staranność wykonania i przemyślenia dało utwory dojrzałe.

„Wiele szlachetności szlachetnie wyrażonej" określił prof. Stroński trzech poetów, sumując ich wieczór. Zupełnie słuszne określenie, do którego można by jeszcze dodać: sporo talentu ciekawie zaprezentowanego. Wieczór był może zbyt krótki (już to świadczy, że był ciekawy). Szkoda też, że czytane były prawie wyłącznie utwory drukowane w tomikach.

B. Taborski

POGADANKI JĘZYKOWE

GRZECHY POLSZCZYZNY NA EMIGRACJI

W czasie pierwszej wojny światowej zetknąłem się w armii gen. Hallera we Francji z Polakami z Ameryki. Bawiła mnie ich polszczyzna, której nie zawsze rozumiałem. Nieznajomość języka angielskiego nie pozwalała mi rozszyfrowywać ich angielskich makaronizmów. „Ścieńciuj nogę!" — wołał jeden na drugiego, gdy ten drugi zmylił krok w marszu. Jak można było odgadnąć sens tego wezwania, nie wiedząc co znaczy owo spolonizowane „to change". Dużo wynikało z tego śmiechu i przekomarzań, trochę drwin i złej krwi, no i oczywiście nie obeszło się bez powstania wśród hallerczyków (starym polskim obyczajem) dwu obozów: tych z Ameryki i tych z Kraju.

Obawiam się, że gdybyśmy dzisiaj wrócili z Anglii do Polski, powstałaby dosyć podobna sytuacja: nie całkiem by nas tam rozumiano. Może nasza polszczyzna jest na razie lepsza od amerykańskiej, ale zważywszy, że nasz pobyt na obczyźnie trwa najwyżej kilkanaście lat, a nie całe pokolenia, jak w Ameryce, nie mamy z czego być dumni. Przede wszystkim owo szpikowanie naszej mowy wyrazami angielskimi. Z początku było to na wpół żartem, ale powoli weszło w zwyczaj. Coraz częściej mówimy „s o r r y" zamiast „p r z e p r a s z a m", a podobno nawet pewna pani spolonizowała to słówko tak dalece, że nadała mu końcówkę żeńską, mówiąc: „j e s t e m s o r a"...

Kto zrozumiałby w Polsce opowiadanie, jak to się pojechało „b a s e m" na „s z o p i n g" (ach, te „t i k i e t y" zdrożały!), by kupić u „b u c z e r a" mięso i „s o s e d ż e", a u „g r i n g r o s e r a" „l e t t u s", jak się wstąpiło na „t i", spotkawszy „b o j f r e n d a" czy „g e r l f r e n d ę", po czym wróciło się na „l a n c z" do swego „f l a t u", gdzie tymczasem pracowali „c h a r w o m a n" i „w i n d o w c l e a n e r" oraz zajrzał „m i l k m a n"; „l a n c z" jadło się oczywiście w „b r e k f e s t - r u m i e".

Ale te groteskowe naleciałości, to nie jedyny przejaw zepsucia polszczyzny emigracyjnej. Zaczyna ją paczyć nie tylko słownictwo, ale i styl angielski. Pewna instytucja polska w Londynie otrzymała pismo, zawierające m. in. takie zdanie: „F i r m a, w k t ó r e j s t a r a ł e m s i ę o p r a c ę, n i e b y ł a k o m p l e t n i e z a d o w o l o n a z f a k t u, i ż m o j e k w a l i f i k a c j e o d p o w i a d a j ą w y m a g a n i o m C h a m b e r o f C o m m e r c e". Wygląda to jak nieudolne tłumaczenie z angielskiego. Z początku nie rozumiemy, dlaczego to owa firma była niezadowolona z dobrych kwalifikacji petenta. Okazuje się jednak, że autor cytowanego zdania nieświadomie przetłumaczył w myśli słowo „s a t i s f i e d" przez „z a d o w o l o n a", jakkolwiek znaczy ono również „p r z e k o n a n a". Chciał więc powiedzieć, że owa firma nie była w zupełności przekonana o jego kwalifikacjach.

Do tej samej kategorii błędów, wypływających z dosłownego polszczenia wyrazów angielskich, należy rozpowszechnione na emigracji w W. Brytanii wadliwe używanie przysłówka „p r a k t y c z n i e" (ang. „p r a c t i c a l l y"). Wyraz ten oznacza sposób **c e l o w y** wykonywania jakiejś czynności i stosowanie do niej środków prostych a skutecznych, np. dokonywać zakupów praktycznie, ubierać się praktycznie. Co jednak znaczy zdanie typu: „T o j e s t c z ł o w i e k p r a k t y c z n i e c h o r y" ? Nie można przecież być chorym praktycznie. Jest to po prostu błędna kopia angielskiego „he is practically ill", gdzie „p r a c t i c a l l y" znaczy „w p r a k t y c e" albo „w ł a ś c i w i e" (sens: „właściwie on jest chory").

Podobnie „a c t u a l l y" nie znaczy „a k t u a l n i e", „o b e c n i e", lecz **„w r z e c z y w i s t o ś c i"**, a „e v e n t u a l l y" — nie „ewentualnie", lecz „w r e z u l t a c i e", „k o n i e c k o ń c ó w".

Wracając do naszych grzechów i grzeszków językowych, trzeba by z tym coś zrobić. Bez stawania na koturnach, załamywania rąk i rozdzierania szat, musimy wydać wojnę niedbalstwu. Bo u podstaw zła leży tu niedbalstwo, a nie angielszczyzna. Przecież owe śmieszne makaronizmy pojawiają się niejednokrotnie w ustach Polonusów, których angielszczyzna nie przekroczyła poziomu pierwszych lekcji Eckersleya... Poza rodaków rozmowami niemałą winę ponosi tu prasa emigracyjna, której język zbyt często pozostawia sporo do życzenia.

Przydałaby się jakaś krucjata w obronie polszczyzny na emigracji. Krucjata na wesoło, ale żeby zaszła za skórę grzesznikom przeciw językowi ojczystemu.

Wig.

Od redakcji. Na zapytania Czytelników podajemy do wiadomości nazwisko Autora „Pogadanek językowych". Jest nim doc. dr Ignacy Wieniewski.

WYZWOLENIE WILNA

(Dokończenie ze str. 3)

ulicy Wileńskiej. Na schodach spotykam kanoniera Langnera z Częstochowy, mego dawnego ordynansa pod Lwowem, który, jako ochotnik i peowiak, prosił mnie o funkcję bardziej liniową przed wyprawą wileńską. Prowadzą go nieprzytomnego dwaj sanitariusze, a z głowy mu spływa obficie krew. Jak się okazało później, miał on cołupany kawałek czaszki.

Gdy w sanitarce zebrał się komplet rannych, odwieziono nas do dawnego pałacu biskupiego (pałac generał-gubernatorów rosyjskich, później pałac Rzeczypospolitej). Był tam szpital sowiecki. Naprędce zebrano bolszewików w jednej sali, a drugą oddano żołnierzom polskim. Z sali sowieckiej przyszło na polską kilku młodych chłopaków m. in. Szukszta, ciężko ranny jeszcze w samoobronie wileńskiej gdzieś na Pośpieszce, i Kamionko.

Gdy mi wskazano me łóżko, zobaczyłem już leżącego obok ppor. Józefowicza. Dostał on dwa strzały w stopę zaraz po moim odejściu. Tutaj do mych cierpień fizycznych dochodzi niepokój o los działa. Czy Sarnecki przybył na czas, by objąć dowództwo? Po niedługim czasie uzyskuję odpowiedź. Na salę wnoszą Sarneckiego ciężko rannego w biodro i kładą obok mnie. Wszyscy trzej oficerowie plutonu są w komplecie, lecz, niestety, w szpitalu, niezdolni do dowodzenia.

Sarnecki opowiada, że zeszedł z działem aż ku samemu mostowi, że na wybrzeżu Wilii wprowadził działo do bramy jednego z domów, że strzelał w kierunku kościoła św. Rafała, że ma, zdaje się (proszę mi darować pozory świętokradztwa), na rozkładzie jednego aniołka z zewnętrznych ozdob kościelnych.

Dowództwo plutonu objął podchorąży Floryanowicz.

Ale walki już ustały. Późno wieczorem tego dnia wielkanocnego, 20 kwietnia 1919 roku, Wilno było wolne.

Spotykało ono uroczyście dnia następnego wielkiego Wilnianina, Naczelnika Państwa, Józefa Piłsudskiego.

Dnia 29 kwietnia było ono ponownie zagrożone przez Rosjan, a pluton mój, pod dowództwem dzielnego oficera, kpt. Makowskiego, również rodem z Litwy, skutecznie działał pod Kieną.

Piłsudski odwiedził swych rannych żołnierzy w szpitalu. Wypytywał mię o szczegóły działań artylerii.

Dr Hłasko, wileński okulista, orzekł, że w sprawie mego oka jest „prognosa pessima" (przewidywania jak najgorsze) i że trzeba jechać czym prędzej do Warszawy na operację.

Naczelnik Państwa, za wstawiennictwem Beliny, wziął mnie do swego pociągu, który pierwszy odchodził z Wilna do Warszawy w dniu 27 kwietnia.

Tutaj, przed operacją, mogłem oglądać z balkonu przy Nowym Świecie piękną defiladę w dniu 3 maja 1919 r., w Warszawie, ogarniętej nastrojem dumy narodowej i radości powszechnej.

Dla okazania swej wdzięczności plutonowi 1 konnej baterii, miasto Wilno nazwało nadbrzeże Wilii naprzeciw kościoła św. Rafała ulicą 1 Konnej Baterii, a ja, jako dowódca plutonu, dostałem od zarządu miasta album przepięknych zdjęć Wilna, wykonany przez profesora Bułhaka.

W pamięci mej utkwił drobny fragment z życia Wilna w dniach walki. Oto 19 wieczorem, gdyśmy po walce maszerowali Wielką ku Ostrej Bramie, starzec o pięknych siwych włosach, przypuszczalnie stróż jednej z większych kamienic (tytułu „dozorców domowych" wtedy jeszcze nie znano), zdjął szyld drewniany o obcych emblematach na czerwonym tle. Rzucił go o bruk i gdy szyld rozsypywał się na kawałki, stary wołał z uniesieniem ku przechodzącemu wojsku: „A już komuny nie ma!"

Minęło dwadzieścia lat i Wilno weszło w nowy okres swego męczeństwa, trwający dotychczas, a znaczony aresztowaniami, deportacjami i śmiercią jego obywateli pod kilkoma kolejnymi okupacjami.

Zadokumentowało ono jeszcze raz niepodległość ducha krwią swych dzieci, żołnierzy A.K., w dniach od 7 do 13 lipca 1944 r., przelaną na jego ulicach.

Wierzymy, że okres ten minie, jak mija każde zło i niesprawiedliwość, a z krwi ofiarnej wyrośnie kwiat wolności.

Wierzymy, że mieszkańcy Wilna wrócą do domów swych Ojców i Dziadów, by zdjąć i roztrzaskać na zawsze obce wschodnie szyldy, że znajdą, niezależnie od pochodzenia i języka, formy zgodnego współżycia w przyszłości.

Wierzymy gorąco, że Ta, do której dawniej Wilno modliło się słowami:

„Patronko wielka grodu Gedymina,
Wilna całego nadziejo jedyna,
W swej Ostrej Bramie obrono potężna,
Królowo Polska i Litewska Księżna",

wyjedna wreszcie pokój swemu umęczonemu miastu.

Wierzymy.

Stanisław Kopański

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS"

wydaje

w dziesięciolecie walk polskich we Włoszech

w ramach „BIBLIOTEKI POLSKIEJ"

książkę Jana Bielatowicza

p. t.

NA POLACH BITEW 2 KORPUSU

W tym zbiorze reportaży autor opisuje, co po polskim żołnierzu we Włoszech pozostało po dziesięciu latach w pomnikach, w historii i tradycji. Książka ukazuje proces przemiany zielonych drzew historii w skamieniały las pomników i próchnicę ludzkiej niepamięci.

Cena książki w przedpłacie do 31 maja 8/6 + 6 d. za przesyłkę. Po ukazaniu się książka kosztować będzie 15/-.

Zamówienia:

VERITAS F. P. CENTRE, 12, Praed Mews, London, W. 2.

NOWOŚĆ WYDAWNICZA

Pamiątkowa książka

MONTE CASSINO W DZIESIĘCIOLECIE BITWY

Artykuły i opracowania: gen. W. Andersa, gen. Z. Bohusza-Szyszko, J. Bielatowicza. Wybór prozy i wierszy. Pieśni, nuty, dokumenty. Bibliografia. Rysunki i okładka: S. Gliwa.

Bogaty materiał do urządzania obchodów rocznicy bitwy. Książka niezbędna dla bibliotek i szkół.

PAMIĄTKA DLA KAŻDEGO ŻOŁNIERZA POLSKIEGO I JEGO RODZINY.

Cena 4/6, DM 3, frs. 225.

Wydawnictwo: Stowarzyszenia Polskich Kombatantów i Komitetu Obchodu X Rocznicy Bitwy o Monte Cassino.

Do nabycia: SPK, 18, Queens Gate Terrace, London, S.W.7. i wszystkie księgarnie polskie w W. Brytanii, Australii, Argentynie, Francji, Niemczech, Stanach Zjednoczonych.

NOWOŚĆ!

Ks. mgr. Stanisław Cynar

IGNACY RACZYŃSKI

ostatni prymas Polski porozbiorowej i jego działalność duszpasterska w okresie Księstwa Warszawskiego.

Stron 160. Cena 10/-, (plus 6 d. za przesyłkę)

Do nabycia:

Katolicki Ośrodek Wydawn. „Veritas"

12, Praed Mews, London, W.2.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno-Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12, Praed Mews, London, W. 2. England. Telefony: Redakcja i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADdington 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie, z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godz. 3.30 do 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna jest z góry i wynosi miesięcznie 4 szyl. 6 d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szyl. WPŁATY: a) **w krajach bloku szterlingowego:** — Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) **w krajach bloku dolarowego:** — International Money Orderem lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego. c) **we wszystkich innych krajach:** — do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam — £ 1.0.0, w tekście – 50% drożej, na stronie tytułowej — 100% drożej. PRZEDSTAWICIELSTWA i CENA PRENUMERATY W RÓŻNYCH KRAJACH: ARGENTYNA: Przedstawiciel — **„Libreria Polaca"**, Av. Leandro Alem 641, Buenos Aires. AUSTRALIA: Przedstawiciele: **„Vistula" (Australia) Pty. Ltd.**, 77, Pitt Street, Sydney oraz **„Społem"**, 85, Wattle Avenue, Royal Park, Adelaide, S. A.; BELGIA: Przedstawiciel — **E. Kułakowska**, 101, Rue Auguste Lambiotte, Bruxelles. Prenumerata kwart. — 90 frs. BRAZYLIA: Przedstawiciel — **Z. Kietlinska**, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana. FRANCJA: Przedstawiciel Generalny — **„Libella" Librairie**, 12, Rue St. Louis-en-l'Ile, Paris IV. Prenumerata kwart. 540 frs. HOLANDIA: Przedstawiciel — **P. M. K.**, Schorsmolenstraat 9, Breda. KANADA: Przedstawiciele — **Canadian Mosaic Publishers**, Suite 1, 4118, Western Av., Montreal 6; **International Book Service**, 57, Queen Street W., Toronto 1 **„Radegast"**, 570, Aberdeen Ave., Winnipeg, Man.; Prenumerata kwartalna $ 2.00; NIEMCY: Przedstawiciele: **S. Mikiciuk**, Seehammerstr 4, Bar. 16 B/2 (13b) München 54 oraz **„Informacja Prasowa"** — Postfach 86 (23) Quakenbrück. Prenumerata kwartalna 8 RM.; NORWEGIA: Przedstawiciel: **B. Łubiński**, Fagerturveien 14, Bestun, ved Oslo. STANY ZJEDNOCZONE: Przedstawiciele: **„Gryf Publications"** — 615, Henry Street, Utica N. Y. oraz **M. Kijowski** — 13171, McDougall, Detroit 12, Mich, oraz **J. Stojanowska**, 424, Ave „E", Bayonne N. Jersey, oraz **„Pomoc" — Export Import** — 761, Fillmore Ave, Buffalo 12,, N.Y. Prenumerata kwartalna $ 2.00. SZWAJCARIA: **Mgr. A. Bocheński**, Case Postale 19, Fribourg 2. Prenumerata kwartalna Frs. 5.00. SZWECJA: Przedstawiciel: **Mgr. B. Kurowski** — Lund, Revingegatan 13 B. Prenumerata kwartalna 10 Kr. WŁOCHY: Przedstawiciel: **Mme. Z. Bułhak-Jelska** — via Salaria 300/c, Roma.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734.